



TU WARTO ŻYĆ

STR. 3

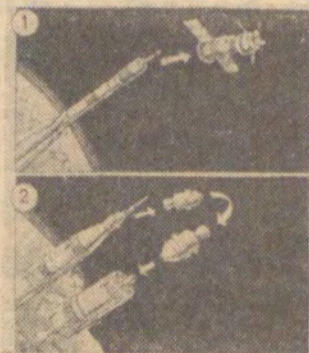
DZIŚ OSTATNI ODCINEK SPRAWY WATERGATE

REZYGNACJA i PRZEJĘCIE WŁADZY

STR. 10

FANTASTYKA

ŚWIAT NASZYCH PRAGNIĘŃ



STR. 11

ODGŁOSY

ROK XVIII NR 32 (922)

7 SIERPNI 1975 ROKU

CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

REKOMENDACJE

W dzisiejszym numerze prezentujemy naszym czytelnikom sporą porcję ciekawych materiałów. Publikacją Andrzeja Blajera „Rezygnacja i przejęcie władzy” kończymy dziewięcioczęściowy cykl poświęcony kulom władzy prezydenckiej w Stanach Zjednoczonych. Słynna afera „Watergate” wstrząsnęła jak wiadomo opinią całego świata i stała się przedmiotem setek publikacji. Relacja Andrzeja Blajera oparta jest na dokumentach zgromadzonych w toku badania tej afery przez władze USA.

Z dziedziny fantastyki szczególnie polecamy opowiadanie Roberta Sheckleya „Świat naszych pragnień” przedstawiające losy ludzi pozostałych na Ziemi po katastrofie atomowej. Pośporna i dramatyczna, ale bardzo interesująca proza z gatunku fikcji fantastyczno-naukowej.

Lucjusz Włodkowski i Włodzimierz Parys w dalszym ciągu wędrują szlakiem kolejki wąskotorowej. Napotykać na tej drodze wiele spraw zabawnych i dziwnych. Reportaż „Poezja i proza kolejki wąskotorowej” opowiada o tzw. Polsce powiatowej, o życiu toczącym się wolno i leniwie a jednak pełnym uroku i ciepła.

Na pytanie co robią ludzie w wolną sobotę odpowiadają dwaj reporterzy radiowi — Tadeusz Szewera i Edward Szuster. Oczywiście w wolną sobotę ludzie jadą nad Pilicę.

Polecamy też porcję literatury — może akurat nie na letnie upały — ale literatury z pewnością ciekawej i wartej przeczytania. Mamy tu na myśli propozycje książkowe z naszej stałej rubryki „Ex libris Odgłosów”.

Bieżący numer zawiera także polemiki m.in. Widok polemizuje z artykułem Karola Badziaka z „Prasy Polskiej” a Cwiek z kolei polemizuje z „ostatnią stroną „Odgłosów”, konkretnie z rubryką „Powiększenia”. Bardzo ciekawa i pełna złośliwości wymiana zdań.

WYPOCZYNEK



TADEUSZ
SZEWERA

EDWARD
SZUSTER

MIĘDZY DWOMA MOSTAMI

CZYTAJ NA STR. 5

KONTRASTY (II)

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

POEZJA I PROZA KOLEJKI WĄSKOTOROWEJ

Drogą biegnącą obok szyn kolejki wąskotorowej idzie staruszka. Szynami jedzie wąskotorowy pociąg. Maszynista zwalnia, zatrzymuje się i pyta staruszkę:

— Babciu, może podwieźć babcię? —
— Dziękuję ci, młody człowieku — odpowiada babcia — ale dziś bardzo się śpieszę.

1.
Rozpoczynamy z Włodzimierzem Parysem drugi etap naszej podróży w poszukiwaniu kontrastów. Miejsce startu: dworzec KUJAWSKIEJ KOLEI DOJAZDOWEJ w Krośniewicach. W Ozorkowie był to biało pomalowany barak. W Krośniewicach jest to już dworzec z kasami jak w „dorosłej koleji”, czysty, odświeżony, wyremontowany. Najpierw składamy wizytę dyżurnemu ruchu. Jest nim Jerzy Jaroński. Od 1960 roku na PKP. Pracował na stacjach Ostrowy i Nieszawa, a od 1973 — na stacji Kujawskich Kolei Dojazdowych w Krośniewicach. „Trybuna Ludu” wtorek, 22 lipca 1975 roku:
„...sterowano siałkami z dwóch bardzo odległych kontynentów. Obsługa nazemne wykonały nie tylko podwójne zadanie sterowania dwoma pojaz-

dami i załogami („Sojuzem” i „Apollo” — przyp. L. W.) Trzeba pamiętać, że całe przygotowanie załóg kształtowane było w odmienny sposób, że załogi te od niedawna znają język partnerów(...)

— Gdyby zamknąć oczy i potem szybko je otworzyć, można by jeden z ośrodków wziąć za drugi — stwierdził jeden z przedstawicieli NASA.

W pomieszczeniu dyżurnego ruchu uwagę zwraca wielki zielony pulpit z ułożonym na nim schematem wszystkich torów stacji Krośniewice. Kiedy stanie się przed tym pulpitem na lewo ma się przed sobą wyjazd w stronę Ozorkowa, a na prawo — w stronę Boniewa i Ostrowy.

Dalszy ciąg na str. 8

JEDNO Z 49

RYSZARD BINKOWSKI

POSAG DLA WOJEWODY

Dwóch młodzieńców kurzy sporty ukryte w rękawie. Na dworcach łatwiej można udawać dorosłych. Wjedzie pociąg, to jest na co popatrzeć. I cicho, spokojnie, jak zwykle w godzinach przedpołudniowych. Jak w czasach Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej. Z tym, że wtedy pociągi kursowały rzadko, ale za to ze szwajcarską dokładnością.

— Dno — mruczy drugi chłopak o blond dziewczęcej urodzie. — Województwo, nie? A nawet, kurwacka, w drugiej lidze nie mamy szmatławców.

— Za ciężki masz globus. W Belchatowie górniczy zrobią pierwszą ligę.

— Jak będzie w maju karnawał!

— Banasia ściągną, Szarmacha...

— Ty, wiesz co? — denerwuje się ten w czerwonej kurtce. — Chodźmy lepiej na piwo do „coctajlu”.

— A jak nas zwina?

Kumpel klepie go ze śmiechem po plecach. Pewnie nie zwina, bo z cocaill—baru przy alei Bieruta zrobiła się przyzwyczajona mordownia. Browar sika z beczek, a zawiane młokosy sikają po kątach. Zamiast soku leją soczyste k., trzeba mieć wrażliwość współczesnego poety, żeby wczuć się w tę atmosferę.

A na dworcu kolejowym kobiety wiejskie patrzają smętnym okiem na pozieloną kielbasę, wystającą z rozkrojonych bułek. Herbata bez fusów, trzonek łyżki w oku, lekki smrodek, bo się kura w torbie zebzdziła.

To nie amatorzy kolei. Na obszer-nym placu przed stacją stanowiska PKS. Pociągami nie wszędzie zajadzie, autobusy natomiast docierają do naj-dalszych kątów województwa.

Na pobliskim postoju taksówek też pustki. Właściciel szarego fiata (nume-ru nie podawać) zasłonięty płachtą „Głosu Robotniczego”.

— A mapę województwa pan widział? — pyta potrzęsając gazetą. — To już jest coś! Przynajmniej dla nas, bo myśleć trzeba interesownie. Trafiły się dłuższe kursy na Bugaj, w okolicy „Piomy”, a reszta to krótkie wyskoki. Ale teraz, jak w Piotrkowie województwo, sprawa idzie na lepsze. Patrz pan, kto tu będzie przyjeżdżać w interesach: z Belchatowa, Tomaszowa, z Opoczna, Radomska, a nawet z Warszawy. Będzie dużo spraw do załatwienia, kupa ludzi w delegacjach. Zamiast błakać się po mieście, wsiądą do taksówki...

Taksówkarze wierzą dobry interes. Ale w wojewódzkim mieście wrośnie odpowiedzialność zawodowa. Trzeba będzie skończyć z grymasami. Jeśli chory człowiek musi jechać do szpitala za osiem złotych, to taki kurs, choć nieopłacalny, musi być wykonany. A kiedy trzech pasażerów jedzie w jednym kierunku i wysiadają po drodze, to kto płaci? Wszyscy po równo, każdy za swój odcinek? A ten, co wysiada ostatni najwcześniej, za cały kurs? Łatwo brać forszę od każdego z tych trzech, ale nieuczciwie...



Dalszy ciąg na str. 5

OD CZWARTKU DO CZWARTKU

Najważniejszym oczywiście faktem, wokół którego koncentrowała się opinia publiczna, było spotkanie w Helsinkach i ten temat omawiają w prasie światowej.

Pierwsze spotkanie na najwyższym szczeblu w Europie od czasu kongresu wiedeńskiego w 1954 r. rozpoczęło się w Helsinkach 20 lipca o godz. 14. Droga losowania (ponieważ państwa reprezentowane są przez polityków niezależnych z punktu widzenia protokołu dyplomatycznego: prezydentów, premierów, pierwszych sekretarzy partii) uzgodniło kolejność przemówień przedstawicieli z państw, którzy uczestniczyli w szczyście Przewodniczący delegacji polskiej E. Giersek przemawiał jako jedynasty z kolei, a jako drugi w przedpotomowej sesji 21 lipca. Po nim wystąpił prezydent Finlandii U. Kekkonen, Prezydent Ford wystąpił jako 24. i ostatni mówca, natomiast przedstawiciel Watykanu, Poza obradami zarezerwowano trochę czasu na bezpośrednie spotkanie przywódców państw. Prezydent Ford spotkał się dwukrotnie z Leoidem Breznievem, tymczasem o obu mezonach, jak stwierdził Ford, „podjęcie pewnych wstępnych decyzji zmierzających do wprowadzenia w życie tego, co uzgodnimy” w kwestii ograniczenia zbrojeń strategicznych. Równocześnie w Waszyngtonie ogłoszono, że USA wycofały kuzwę jako ważne wydarzenie w procesie odprężenia. Jedynie kanclerz CDU/CSU wezwława kanclerza Schmidt — podczas debaty Bundestagu na temat KBWE — by nie składał podpisu w Helsinkach pod dokumentami końcowymi.

Podczas obrad konferencji Edward Giersek spotkał się z polskimi dziennikarzami — specjalnymi sprawozdawcami agencji prasowych, radia, prasy i telewizji, akredytowanymi przy Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie.

W czasie spotkania, w którym wzięli udział: członek Biura Politycznego KC PZPR, prezes Rady Ministrów — Piotr Jaroszewicz i członek Biura Politycznego, minister spraw zagranicznych Jerzy Giersek. Ed. Giersek podziękował dziennikarzom za ich pracę, której celem jest maksymalnie szeroka relacja z obrad szczytu w Helsinkach. Sekretarz KC PZPR stwierdził, iż delegacja polska jest zadowolona z obrad konferencji. Zabrerający dotychczas głos przywódcy i szefowie rządów poparli idee konferencji deklarując wolę realizacji zasad zawartych w akcie końcowym KBWE. Mówiąc o udziale delegacji polskiej w pracach konferencji, Edward Giersek wskazał na znaczenie licznych „otoków dwustronnych z przywódcami i szefami rządów krajów socjalistycznych i zachodnich. Spotkania takie — jak już informowaliśmy — odbyły się z sekretarzem generalnym KC KP R Leonidem Breznievem, z prezydentem Finlandii Urho Kekkonem, premierem Wielkiej Brytanii, Haroldem Wilsonem, prezydentem Francji Valerym Giscardem d'Estaingiem, premierem Włoch — Aldo Moro i innymi czołowymi przedstawicielami krajów uczestniczących w konferencji.

Były to rozmowy polityczne, w ich toku poruszono wiele zagadnień związanych z pracami KBWE, najważniejszymi zamierzeniami okresu pokonferencyjnego, a także omawiano szereg problemów dotyczących dwustronnej współpracy i współdziałania. Z tego punktu widzenia — powiedział E. Giersek — oceniamy, że spotkania te i rozmowy dobrze przysłużyły się interesom naszego kraju.

Odpowiadając na pytania dziennikarzy Edward Giersek, Piotr Jaroszewicz i Stefan Olszewski uspokajali się do niektórych problemów związanych z procesem dalszego odprężenia podkreślając m. in. znaczenie negocjacji na temat ograniczenia i redukcji zbrojeń, dialogu radziecko-amerykańskiego, normalizacji stosunków RFN — Polska oraz innych inicjatyw i posunięć zmierzających do pełnej realizacji zasad zawartych w dokumentach końcowych Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy.

Po powrocie do Warszawy i sekretarza KC PZPR Edward Giersek udzielił wypowiedzi przedstawicielowi Polskiej Agencji Prasowej: Wracaliśmy z Helsinek z głębokim zadowoleniem i przekonaniem o historycznej doniosłości dokonywanych uchwał na Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. Mają one wielkie znaczenie dla Polski, dla całego naszego kontynentu.

Pełny sukces k. areneli, to wielkie osiągnięcie powojennej polityki krajów socjalistycznej wspólnoty, a które ją zainicjowały, wspólny dorobek wszystkich państw, które w jej pracach uczestniczyły. Jest to sukces sprawy pokoju w Europie.

W Intencji Polski wyraziłmy w Helsinkach wolę konkretnego wcielenia w życie uchwał tego spotkania. Potwierdzają one bowiem nienaruszalność pokojowego ładu polityczno-terytorialnego, umacniają poczucie bezpieczeństwa w Europie, otwierają nowe perspektywy dla przyjaźni i współpracy narodów. Utrwalają więc korzystne warunki dalszego dynamicznego rozwoju Polski.

Polska wespół ze swymi socjalistycznymi sojusznikami i przywódcami będzie dążyć do starania, aby uchwały konferencji wypełnił konkretna treścią. Stoimy na gruncie pełnej realizacji tych uchwał. Oczekujemy tego również od wszystkich innych uczestników konferencji.

Leczy na to, że uchwały Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie natchną narody do nowych wysiłków dla postępień odprężenia międzynarodowego i uczynienia go nieodwracalnym

LISTY

„AUTOMATYCZNA SIELANKA TELEFONICZNA”

W związku z artykułem Andrzeja Makowieckiego zamieszczonym w „Odgłosach” 24 lipca br. pt. „Automatyczna sielanka telefoniczna” Wojewódzki Urząd Telekomunikacji w Łodzi (dawny UTM) prosi o zbadanie sprawy i zajęcie stanowiska uwzględniając poniższe informacje:

1. Na terenie Łodzi zainstalowanych jest 825 aparatów wrzutowych, w tym w kabinach telefonicznych 245 aparatów. Konserwacje wykonuje zespół pracowników 35 osób, natomiast utrzymanie czystości w kabinach zlecono Spółdzielni Inwalidów „Światowid” w Łodzi. Za utrzymanie czystości w kabinach WUT ponosi koszty na rzecz „Spółdzielni” które wynoszą 1.230 tys. zł rocznie.

Zasadniczą trudnością w utrzymaniu sprawności technicznej automatów telefonicznych jest ich niszczenie przez chuliganów, przeważnie w celu kraść pieniędzy. Dla przykładu podajemy, że w roku bieżącym zanotowano następującą ilość wypadków dewastacji:

- skradzionych ap. wrzutowych 13 szt.
- skradzionych mikrotelefonów 39 szt.
- skradzionych kaset z piętami 261 szt.
- stłuczonych szyb w kabinach telefonicznych 91 szt.

Najliczniejszą grupę stanowią uszkodzenia powodowane przez niewłaściwe posługiwanie się aparatami jak: wrzucanie różnych przedmiotów, walenie pięścią lub mikrotelefonem w aparat, których zanotowano w bieżącym roku 3129.

W świetle powyższego uważa Andrzeja Makowieckiego o

bezrosce Urzędu jest niestosowna, krzywdzi pracowników tej służby, którzy z całym poświęceniem pracują często w godzinach nadliczbowych a także w niedziele i święta zwłaszcza, że autor artykułu nie piętnuje chuliganstwa i wandalizmu, które w tym zakresie na terenie naszego miasta przybrało zaskarżające rozmiary.

Jednostronne naświetlenie tego zagadnienia w tak poważnym i poczytnym tygodniku dezinformuje społeczeństwo, nastawia wrogo do wysiłków pracowników zatrudnionych przy konserwacji i nie stanowi czynnika wychowawczego społeczeństwa w kierunku zapobiegania wandalizmowi.

2. Poruszona w artykule sprawa przeniesienia telefonu dla autora artykułu nie może być zrealizowana z przyczyn Andrzeja Makowieckiego dobrane znany, niemniej informujemy co następuje.

Na osiedlu Retkinia przewidziana jest budowa centrali telefonicznej o pojemności 10.000 NN wraz z siecią kablową. Projektowane te centralę oddać do użytku w 1976 r. W terminowej realizacji tego zamierzenia zasadniczą przeszkodą było i jest w dalszym ciągu brak budynku. Budynek dla centrali został zlecony do Przedsiębiorstwa Bud. Miejskiego Nr 3 w Łodzi, które mimo wielu interwencji, budowa budynku jest bardzo opóźniona. Dlatego urządzenia centrali przeznaczone dla CA Retkinia skierowano do innych okręgów. Jeżeli budynek nie będzie zakończony w roku bieżącym to urządzenia przewidziane dostawa w 1976 r. będą musiały być również zagospodarowane w innych rejonach. Nadmieniam się, że czynio-

ne wysiłki w kierunku przyspieszenia budowy budynku nie odnoszą skutku. W związku z tym centrala na osiedlu Retkinia będzie uruchomiona na przełomie lat 1977/78 i w tym to okresie może być zainstalowany telefon w mieszkaniu Andrzeja Makowieckiego.

Na podstawie posiadanych dokumentów WUT stwierdza, że zabrany aparat telefoniczny był własnością urzędu. W związku z tym redakcja winna jest odpowiedniego sprostowania i wypowiedzi Andrzeja Makowieckiego.

3. Wysuwane oskarżenie o „Japownictwo” za instalowanie telefonów należy bezwzględnie wyjaśnić i skierować na drogę postępowania karnego. Obowiązkiem każdego obywatela jest tepienie tego rodzaju postępowania i Andrzeja Makowiecki winien był podać posiadane informacje celem ustalenia osoby pobierającej pieniądze za instalację telefonów.

4. Forma i użyte słownictwo w artykule są bardzo obraźliwe i mocno krzywdzą wszystkich pracowników Urzędu i brak telefonu w mieszkaniu Andrzeja Makowieckiego nie upoważnia go do zajmowania wrogiego stanowiska do zespołu ludzi Wojewódzkiego Urzędu Telekomunikacji.

Mając na uwadze właściwe poinformowanie społeczeństwa tak w prawidłowym utrzymaniu aparatów wrzutowych jak i trudności w instalacji aparatów telefonicznych prosimy o sprostowanie treści artykułu Andrzeja Makowieckiego.

inż. ZB. NOWAKOWSKI (zastępca dyrektora)

Mimo mojego reportażu nikt w tej sprawie nie ruszył do dzisiaj palcem. Takich zaniedbań i zapomnianych aparatów znajduję się w Łodzi kilkadziesiąt. Co z tego, jeśli podam adresy, skoro podalem ich już paręnaście i nie odniosło to żadnego skutku. Krytyka prasowa jakoś sobie z telefonami nie radzi. Ba, często całkiem się ją ignoruje. Przecież to pierwszej naszej wzmiance o nieuczynnej kabinie przy ulicy Thälmanna dyr. Zb. Nowakowski w ogóle nie raczył ustosunkować się do sprawy, licząc widocznie, że sama jakoś przyschnie. Jeśli zatem opisane w prasie przypadki nieuczynnych aparatów nie spotykają się ze strony Urzędu Telekomunikacyjnego z żadną pozytywną reakcją, jaki może być los przypadków nie ujawnionych?

2. Sprawa mojego domowego telefonu, o który zresztą nie walczę i walczyć nie zamierzam, jest mimo wszystko zasadna. Tylko ci, którzy nie mają telefonów w domu, wiedzą jaką zmorą są automaty i budki telefoniczne. Człowiek, który korzysta z tych urządzeń od przypadku do przypadku, zanudzając 90 procent rozmów we własnym mieszkaniu, nie ma zielonego pojęcia, co to znaczy zdać się na łaskę ulicznych automatów. A przecież takich jak ja, pozbawionych domowego telefonu, jest w Łodzi setki tysięcy. W ich interesie napisałem właśnie mój artykuł. Biję się o ich stracony czas, o ich nerwy, o ich zgrabione przez automat złotówki.

3. Dyr. Zb. Nowakowski twierdzi, że „wysuwane oskarżenie o „Japownictwo” za instalowanie telefonów należy bezwzględnie wyjaśnić i skierować na drogę postępowania karnego”.

Wyjaśniam więc, że nie śmiem posadzać pracowników telekomunikacji o Japownictwo, natomiast obowiązek reporterski nakazuje mi przekazywać odczułe opinie publicznej, które widocznie nie było WUT znane. Podobnego zdania jest jedna z naszych Czytelniczek,

która tuż po moim artykule nadesłała do redakcji gorąco zachęcający mnie do zbadania tej sprawy list. Tego samego zdania jestem ja. Od dzisiaj zacząłem poszukiwać człowieka, który wypowiedział się w tej kwestii pod kabiną telefoniczną. Nie wiem, jak się nazywa i gdzie mieszka, ale dobrze pamiętam jego twarz. Jeśli ta droga zawiedzie, spróbuję kilku innych sposobów. Solennie przyrzekam nie ustawać w wysiłkach.

4. Dyr. Zb. Nowakowski sugeruje, że użyta przeze mnie forma i słownictwo są bardzo obraźliwe. Forma i słownictwo są po prostu adekwatne do sprawy. Jakie automaty i kabiny, taka forma i słownictwo. Nie bawmy się w Wersal. Zresztą, co do formy... Ta, której użył dyr. Nowakowski także budzi poważne zastrzeżenia. Słownictwo jest wprawdzie wytworne, ale wypadkowa smutna. Wojewódzki Urząd Telekomunikacji nawet w najmniejszym stopniu nie poczuwa się do winy. Automaty są świetne, konserwatorzy znakomici; całe zło leży po stronie chuliganów i wrednych dziennikarzy. Krytyka prasowa, poddyktowana niekłamną troską, trafia w podwójną gardę. Oto laury, które zebrał reporter. Dyskusje skierowano na tory rozgrzewki personalnej, chociaż podczas mojej wizyty w Urzędzie Telekomunikacji (przed ukazaniem się artykułu) zdecydowanie odciąłem się od wszelkich rozmów na temat mojego telefonu. Odcinam się w dalszym ciągu. Oświadczam: przez dwa lata ani razu nie monitorowałem we własnej sprawie i nie zrobiłem tego przez najbliższych dziesięć lat. Ale o stan aparatów wrzutowych nie przestanę się troszczyć. Z chwiłą, kiedy temat ten przestanie interesować moją macierzystą redakcją, gotowy jestem przetrzeć dyskusję na inne tony. Aż do skutku!

ANDRZEJ MAKOWIECKI

TELEWIZJA



MINAŁ TYDZIEŃ

Tydzień — jak wiadomo — ma 7 dni. Nie jest to żadne odkrycie. Jest to pewnik. Problem polega na tym jak ten tydzień mierzyc. Można bowiem od poniedziałku do niedzieli, można od niedzieli, od środy, czwartku itd. W każdym razie możliwości jest dość ograniczona. W telewizji tydzień zaczyna się w poniedziałek, a kończy się w niedzielę. Jest to zwyczaj powszechnie przyjęty. Telewizja nasza nie sili się zresztą na oryginalność. A jeśli — to bardzo rzadko.

Skoro więc przyjęto zasadę, że tydzień kończy się w niedzielę, to siłą rzeczy zasada ta musiała znaleźć swoje odbicie w programie telewizyjnym. Program więc narasta intensywnie pod koniec tygodnia, aby eksplodować w sobotę i niedzielę. W poniedziałek po tej eksplozji w telewizji nie ma nic interesującego poza teatrem oczywiście, ale to już zupełnie inna sprawa.

Na sobotę i niedzielę przeznaczają się więc najciekawsze filmy i audycje oraz dokonuje się wielu podsumowań. Ostatnio — widać z powodu urlopu — telewizja zaczęła powtarzać niektóre filmy po trzy razy (dwa w programie pierwszym i raz w programie drugim) rzekomo na skutek próśb samych widzów i aby już nie było nieporozumień powtórzenia te tydzień wcześniej anonsuje się w programie telewizyjnym publikowanym w prasie. Ja na przykład zupełnie nie życzę sobie takich powtórzeń, ale tym nikt się nie przejmuję. Uważalibyśmy natomiast, że warto byłoby powtórzyć czasami filmy sobotnie, szczególnie te, które wzbudzą większe zainteresowanie letniej, telewizyjnej widowni, a które z różnych powodów nie wszyscy są w stanie obejrzeć w sobotni wieczór. Ale to też zupełnie inna sprawa.

Mnie interesują przede wszystkim tygodniowe podsumowania. Mamy ich w programie telewizyjnym trzy: w sobotę „Monitor”, oraz w niedzielę przegląd wydarzeń tygodnia w DTW oraz „Tydzień — Magazyn Spraw Codziennych”. Trochę tego szczęścia zażądać jak na dwa dni, ale TVP tkwi uparcie przy tym schemacie. (nawet zmiłana rytmu w ukazywaniu się prasy codziennej nie zmienia tej sytuacji).

W niedzielę zazwyczaj nie się nie dzieje, szczególnie latem, więc i siłą rzeczy dziennik telewizyjny emitowany w niedzielne popołudnie nie ma zbyt bogatego serwisu. Ale czy trzeba ratować go filmowym przeglądem wydarzeń tygodnia? Tym bardziej że coś podobnego w sobotę daje „Monitor”. Wprawdzie „Monitor” uwagę swoją skupia na sprawach międzynarodowych, ale też i nie pomija krajowych. Czy zatem nie byłoby wskazane poszukać innej formuły dla południowego DTW w niedzielę?

Zupełnie inna sprawa jest z „Tygodniem — Magazynem Spraw Codziennych”. Nie jest to przegląd wydarzeń minionego tygodnia, co mogłaby sugerować nazwa. Jest to program o wsi i dla wsi, emitowany w miejsce dawnych „Przemian”. Ponieważ w samo południe, a do tego latem, mało kto ogląda program telewizyjny, a jeśli już ogląda, to na widok planzsy wywoławczej „Przemiany” wyłączają telewizor, TVP wpadła więc na pomysł zakamuflowania programu wiejskiego nic nie mówiącym tytułem. Przeciwnie nawet sugerującym, że jest to program o wszystkim i dla wszystkich. Co w rodzaju „Nie tylko dla pań”, „Sesamu” i temu podobnie. A więc — pomyślano sobie w TVP — może telewizz się nabierze. Ale — stwierdzam — jak nabierze się to tylko raz. Potem już nie. I to bardzo niedobrze!

Telewizja jest dla wszystkich, ale też nikt nikogo nie zmusza do oglądania wszystkiego. Każdy ma prawo wyboru takich audycji, które mu się podobają, a poza tym może korzystać z bibliotek, kin, teatru, operetki, wesołego miasteczka, cyrku lub czegokolwiek innego. Telewizja jednakże spełnia pewną rolę społeczną i tu „kończy się żarty a zaczyna się schody”. Wiadomo, że u nas z rolnictwa utrzymuje się 27,2 procent ludności, ale te 27,2 procent poza tym żywi nas wszystkich i jeszcze coś tam daje na eksport. Wiadomo też, że posiadamy anachroniczną strukturę rolnictwa, uniemożliwiającą wprowadzanie nowoczesnego sprzętu i nowoczesnych metod gospodarowania, a także, że mało mamy tego sprzętu, co wynika z działającego tu sprzężenia zwrotnego. Wiadomo też, że blisko połowa ludności PRL ma o rolnictwie wyobrażenie raczej mełne i bardzo tradycyjne.

Te pewniki zmuszają do postawienia pytania: dla kogo jest „Tydzień — Magazyn Spraw Codziennych”? Dla wsi o wsi, czy dla wszystkich o wsi? Żeby dowiedzieć się „jak wam leci ze zniwami?” wystarczy włączyć DTW i to jest w porządku. Natomiast jeżeli decyduje się na oglądanie „Tygodnia”, to chciałbym dowiedzieć się przede wszystkim o postępie nowoczesności w rolnictwie i o barierach, jakie ta nowoczesność napotyka na swojej drodze. Reasumując, uważam, że TVP brakuje programu, który mówiłby o sprawach wsi, ale byłby adresowany do wszystkich, a nawet przede wszystkim do miejskiego odbiorcy, u którego powodowałby niwelację tradycyjnej niewiedzy o tej tak ważnej części naszej gospodarki narodowej. Nikt dziś przecież nie ukrywa, że pomyślnie narzących ambitnych zamierzeń gospodarczych rozgrywa się nie tylko w kopalniach, hutach i fabrykach elektronicznych, ale przede wszystkim na polach, w oborach i chlewniach. Mieszczuch nauczył się przez lata lekceważyć „chłopków” i dziś — dysponując nawet orientacją w sprawach gospodarczych — nadal — tradycyjnie lekceważy sprawy rolnictwa. Trzeba go zatem przekonać, że myli się i jakieś zadanie w tym ma między innymi do spełnienia telewizja.

ZASTĘPCA

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, JAN IANICKI (redaktor techniczny), WIESŁAW JAZDZYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARZY (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODZIMIERZ (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (zastępca sekretarza redakcji).
Stałe współpracują: ANDRZEJ F. GRABSKI, ANDRZEJ GRUN, WŁODZIMIERZ KRZEMINSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, BERNARD SZTAINERT.

Gazety NRD powiadomiły niedawno, że od 1 stycznia 1962 roku, kiedy to zapoczątkowane zostały podróże między Niemiecką Republiką Demokratyczną i Polską Rzeczpospolitą Ludową bez paszportów, granicę na Odrze i Nysie przekroczyło ponad 30 mln obywateli obu państw. Wyjeżdżano spotkać się z sąsiadami, przyjaciółmi, znajomymi. Jeżdżono za granicę na święta albo po zakupy; granica ta nie dzieli już naszych narodów, lecz je łączy. Robotnicy i całe brygady spotykają się, żeby wymienić doświadczenia, a miliony ludzi poznały skarby kultury naszych zaprzyjaźnionych krajów.

Dzięki porozumieniu, które zawarły między sobą Komitet Łódzki PZPR i Kierownictwo Okręgowe SED w Karl-Marx-Stadt, w ciągu tych trzech lat mogli się bliżej poznać pracownicy obu miast. Dla tysięcy ludzi okręgu Karl-Marx-Stadt niezapomniane będą występy artystów z Łodzi (wśród nich estrady łódzkiego folkloru i zespołu tanecznego im Harnama) podczas Dni Łodzi we wrześniu 1974 r. Prawdopodobnie tak samo niezapomniane będą dla tysięcy mieszkańców zaprzyjaźnionego z nami miasta występy artystów naszego okręgu podczas Dni KARL-MARX-STADT w Łodzi.

Miasto i okręg Karl-Marx-Stadt pod wieloma względami przypomina Łódź. Mają podobny przemysł, organizację nauki i oświaty i rozwój społeczny.

Okręg Karl-Marx-Stadt jest interesujący i atrakcyjny jako jeden z największych ośrodków przemysłowych NRD (przy wydajnej produkcji rolnej) a tym samym jako skupisko klasy robotniczej.

Okręg posiada poważne tradycje humanistyczne i rewolucyjne. Ponieważ na jego terytorium znajdują się Rudawy Czeskie i Vogtland, stanowi też centrum urlopowo-wypoczynkowe NRD a jednocześnie wymiarzone miejsce sportów zimowych o międzynarodowej sławie, dzięki takim miejscowościom jak Klingenthal-Mühlthal i Oberwiesenthal. Obok tak starych i bogatych w tradycje miast, jak Zwickau, Freiberg, Annaberg itd. Na szczególną uwagę zasługuje rozwój głównego miasta okręgu: KARL-MARX-STADT.

Byłe Chemnitz odgrywało niegdyś wśród typowych kapitalistycznych miast przemysłowych Saksonii poniekąd rolę Kopenhagi. Znalazło to np. swój kulturalno-polityczny wyraz w tym, że w porównaniu z ówczesnym Dreznem i Lipskiem było mało interesujące. Ludowe porzekadło zachowało następującą charakterystykę największych miast byłej Saksonii:

„W Chemnitz wypracowuje się dobra, w Lipsku spienią je, a w Dreźnie przetraczą pieniądze.”

Podczas gdy liczące dziś osiemset lat miast, aż do początku XIX stulecia nie posiadało ekonomicznego znaczenia, po roku 1871, w tak zwanym okresie rynderskim, zaczyna się szybko rozwijać gospodarkę. Równocześnie Chemnitz stało się miejscem brutalnego, kapitalistycznego wyzysku. O układzie przestrzennym i wyglądzie miasta zadecydowały dążenie do zysku i wątpliwy dekadentki gust klas posiadających. Nawet dziś w niektórych dzielnicach mieszkalnych miasta następstwa tego są częściowo widoczne.

Z rozwojem przemysłowym byłego Chemnitz i wzmocnieniem klasy robotniczej przekształca się miasto i okolica w twierdzę ruchu rewolucyjnego a następnie antyfaszystowskiego oporu. Tacy wspaniali przywódcy robotniczy jak Klara Zetkin i Fritz Heckert, Ernst Grube i Ernst Schneller, żyli i działali na terenach dzisiejszego okręgu. Ważniejsze zakłady noszą obecnie imiona rewolucyjnych bojowników.

Robotnicy tych zakładów kontynuują tamte rewolucyjne tradycje ze wspaniałymi skutkami przy ekonomicznym umacnianiu socjalistycznej NRD i przy wzorowym wypełnianiu zadań w ramach socjalistycznej integracji ekonomicznej.

Kulturalny rozkwit miasta, przejęcie przez klasę robotniczą skarbowi narodowej i światowej kultury stało się możliwe dopiero po roku 1945 wraz

z utworzeniem władzy robotniczo-chłopskiej, działającej pod kierownictwem partii marksistowsko-leninowskiej.

Szczególne znaczenie dla rozwoju miasta miał rok 1953. W tym momencie nastąpiło, w uznaniu dla rewolucyjnej walki klasy robotniczej Chemnitz przeciw wyzyskowi kapitalistycznemu i faszystowskim i jej bezinteresownego udziału (po wyzwoleniu z hi-

miejsce) z jej bogatym i wartościowym programem z różnych dyscyplin kultury stała się atrakcją dla przybywających ze wszystkich części okręgu i spoza niego.

W hali miejskiej i w hotelu znajduje się wiele dzieł socjalistycznej i realistycznej plastyki cieszących się takim samym zainteresowaniem zwiedzających (w pierwszych trzech miesiącach po otwarciu blisko 130 tys.) jak zasadnicza działalność kulturalna.

Do najważniejszych prac należą bez wątpienia: nadnaturalnej wielkości posąg Gallieusa, duża rzeźbiarza prof. Fritza Cremera z Berlina, zatytułowany „...A jednak się kręcił” oraz fresk „Wyzwolenie nauki przez rewolucję socjalistyczną”.

Obok dalszego kształtowania środowiska najbliższym zadaniem będzie wyposażenie nowo wzniesionych i rozbudowywanych osiedli mieszkani-



Fot. Archiwum

sprawowania władzy przez klasę robotniczą jest współczesna twórczość artystyczna naszego okręgu. Ponad 200 malarzy, grafików, rzeźbiarzy, grafików użytkowych i projektantów utrzymuje ścisłe związki z zakładami pracy, czerpiąc z nich wartościowe impulsy dla swej twórczości artystycznej. Obraz „Młoda para” pędzla Karola Heinza Jakoba z Zwickau znalazł na VII Wystawie Sztuki NRD 1972/73 w Dreźnie wiele życzliwej uwagi międzynarodowej krytyki.

Z wielką sympatią odnoszą się mieszkańcy Karl-Marx-Stadt do dzieła honorowego obywatela prof. Schmidta Rotluffa (ur. w 1884 r. w Rotluff koło Karl-Marx-Stadt), który był jako postępowy malarz niemieckiego ekspresjonizmu współzałożycielem drezdeńskiej grupy artystycznej „Brücke” (Most).

Okolo 20 mieszkających w okręgu pisarzy stara się osiągnąć takie wzory jak pochodzący z naszego okręgu Kurt Barthel (1914—1967) — zwany Kuba — i Fritz Hampel (1895—1932), który pisał pod pseudonimem „Slang”.

Najwybitniejszym przedstawicielem kompozytorów współczesnych mieszkających w okręgu jest Paul Kurzbach (ur. 1902). Skala jego twórczości obejmuje muzykę instrumentalną przez pieśń, piosenkę, aż po utwory sceniczne.

Bardzo rozpowszechniona obok sztuki profesjonalnej sztuka ludowa doznaje opieki i poparcia. Największym uznaniem cieszą się szczególnie w Rudawach Czeskich snycerstwo i koronkarstwo. Chętnie kupowanymi pamiątkami przez krajowych i zagranicznych turystów są palący ludzkiowie, dziadki do orzechów, piramidy i koronkowe kapy. Chętnie słuchane są zawsze grupy instrumentalne, chóry i orkiestry dęte z góralskim folklorem.

Bardzo cenionymi i chętnie odwiedzanymi placówkami kulturalnymi są obok teatrów i liceum muzea i miejsc pamiętkowe naszego okręgu. Obok różnorodnych i rozległych zbiorów Muzeum Miejskiego Karl-Marx-Stadt coraz bardziej atrakcyjne stają się dla turystów miejsca pamięci ruchu robotniczego jak: miejsce pamięci Karola Marksa, miejsce pamięci B. gazety Komunistycznej Partii Niemiec na obszarze dzisiejszego okręgu Karl-Marx-Stadt „Der Kämpfer” (Bojownik) i dom Fritza Heckerta.

Interesujące muzea historii kultury znajdują się w Zwickau i Plauen. Freiberg oferuje swoim gościom znaczne zbiory geologiczne. Atrakcją jest także muzeum zabawek w Seiffen/Erzgebirge i Muzeum Folkloru w Rudawach Czeskich w Schneebergu.

Wydajne zaplecze dla duchowo-kulturalnego kształtowania mieszkańców naszego okręgu Karl-Marx-Stadt stanowią ponad 700 bibliotek. Z roku na rok rośnie liczba stałych czytelników. Gwałtownie rosnące są księgozbiory zaspokajają nie tylko różnorodne potrzeby czytelników, lecz gotują także niejednemu ojcu miasta znaczne troski o należyte ich przechowywanie. Aktualnie jest zapisanych we wszystkich bibliotekach okręgu około 556 000 czytelników, którzy, że tak powiemy, stanowią klan klientów.

Wielostronnie interesujące jest życie klubów i zakładowych domów kultury oraz organizacji społecznych i stowarzyszeń. O bogactwie pomysłów rad klubowych i kierownictw domów kultury, które wciąż coraz bardziej odpowiadają zainteresowaniom różnych grup pokoleniowych od młodzieży po rencistów, świadczy ich wszechstronna działalność.

Nie ma takiej dziedziny życia społecznego, która nie wciela w jedno, w najlepszym znaczeniu tego słowa, polityki, ekonomii, ideologii i kultury. Inspirowane i natchnione przez podobne interesy i cele staną się narody krajów socjalistycznych nie tylko społeczeństwami lepszymi i sprawliwymi, lecz jednocześnie w pełni kulturalnymi, zgodnie z wypowiedzią Goethego: „Tu jestem człowiekiem, tutaj mogę być”.

Przełożył:
KONRAD FREIDLICH

Wolfgang Enders jest sekretarzem Komitetu Okręgowego SED w Karl-Marx-Stadt.

WOLFGANG ENDERS

TU WARTO ŻYĆ

Merowskiego faszystów), w umacnianiu władzy robotniczo-chłopskiej w NRD, przemianowanie nazwy miasta i okręgu na Karl-Marx-Stadt przez ówczesnego premiera rządu — O. Grotewohla.

Dzisiaj miasto jest politycznym, ekonomicznym i duchowo-kulturalnym centrum okręgu. Światową sławę cieszy się produkcja obrabiarek i maszyn włókienniczych oraz innych gałęzi przemysłu. Wszystko to stworzone zostało siłami klasy robotniczej, która poczytuje sobie za honor i obowiązek żyć i pracować w mieście i okręgu noszącym imię Karola Marksa.

Dla licznych przybyszów z kraju i z zagranicy (wśród nich także dla tysięcy obywateli Polski Ludowej) największą atrakcją stanowi całkowicie nowe centrum, które jest źródłem radości i rozrywki nawet dla stałych mieszkańców. Jest ono przykładem tych możliwości, które niesie synteza architektury i plastyki.

Na głównym placu — placu K. Marksa — wznosi się monumentalna rzeźba przedstawiająca Karola Marksa, twórcę naukowego światopoglądu klasy robotniczej. Jest dziełem prof. Lwa Kurbela z Moskwy.

Architektonicznie najwyższy punkt centrum tworzy imponujący kompleks: wzniesiona z okazji XXV-lecia NRD hala miejska i międzynarodowy hotel „Kongres”.

Od dnia otwarcia miejska hala (duża sala na 1900 miejsc, mała na 600

wych (np. „Hans Bleimer”, York i najnowsze „Fritz Heckert”) w takie same architektoniczne i plastyczne urozmańcenia jak centrum.

ZWICKAU, drugie pod względem wielkości miasto okręgu, jest ściśle związane z działalnością Tomasza Müntzera, który na początku 16 stulecia nawoływał tutaj sukienników do oporu przeciwko feudalnej samowoli i uciskowi. Tym samym miasto zapoczątkowało wczesnonobużazyczną rewolucję w Niemczech. Obecnie przygotowuje się w okręgu Karl-Marx-Stadt, a szczególnie w mieście Zwickau obchody 450-lecia wojny chłopskiej.

Kompozytor Robert Schumann (1810—1856) spędził w Zwickau swoje dzieciństwo i młodość. Zadbane miejsce pamiętkowe (Robert-Schumann-Haus), okręgowa szkoła muzyczna nosząca jego imię i coroczny międzynarodowy konkurs interpretacyjny utrzymują żywą pamięć o kompozytorze.

Miasto ze swym rozległym przemysłem (samochodowy, maszynowy, kontenerowy, włókienniczy itd) jest obok Karl-Marx-Stadt i Plauen dalszym skupiskiem klasy robotniczej w okręgu. Także do Polski, dzięki trudowi i wiedzy robotników Zwickau dociera wiele samochodów osobowych typu „trabant”.

Bogate w tradycje humanistyczne jest także miasto FREIBERG ze słynną katedrą (zbudowaną ok. 1230 r.), „Złota Brama” i organami Sielbermana. Słuchaczem założonej w 1765 r. Freiberskiej Akademii Górniczej, która jest wypełnieniem zapisu testamentowego wielkiego znawcy górnictwa i hutnictwa Georgiusa Agricoll (1492—1559), był między innymi rosyjski uczyony Lomonosow.

Akademia Górnicza jest jedną z pięciu wyższych uczelni okręgu. Największym zakładem kształcenia jest Wyższa Szkoła Techniczna Karl-Marx-Stadt, w której studiuje stacjonarnie 6000 słuchaczy. Prócz tego na terenie okręgu działają Wyższe Szkoły Inżynierskie w Zwickau i Mittweide oraz Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Zwickau.

W wielu miejscowościach okręgu znajdują się dzieła z pracowni rodziny Lukasa Cranacha. W licznych kościołach zachowały się prace późnogałęziowych drzeworytników i malarzy: Hansa Wittana, Hansa Hessego i Petera Bräunera.

Reformatorka niemieckiej sceny zwana Prinzipalin Neuberin pochodzi z miasta Reichenbach. Jej artystyczne credo jest kontynuowane przez pięć teatrów okręgu (Karl-Marx-Stadt, Zwickau, Plauen, Freiberg i Annaberg). Obok obowiązkowego wystawiania utworów klasycznych postawili sobie jako szczególne zadanie wprowadzanie na scenę dzieł współczesnych.

Wyrazem świadomego i celowego

POGLĄDY ANDRZEJA MALEWSKIEGO

Takich książek niewiele jest we współczesnej humanistyce. Niewiele dlatego, że bardzo rzadko wydaje się całość drukowanego przebiegu dorobku uczonego, rzadziej zaś badacza, który w chwili swej śmierci miał zaledwie 34 lata. Nie jest też częstym przypadkiem, że intelektualna spuścizna sprzed lat zachowuje po dziś dzień swoją świeżość, może i powinna pełnić funkcje inspirowane dla późniejszych badaczy.

Twórczość Andrzeja Malewskiego my historycy, śledziliśmy z zainteresowaniem odkąd w drugiej połowie lat pięćdziesiątych wkroczył on na pole metodologii naszej dyscypliny. Rozprawy młodego filozofa i socjologa ogłaszane w czasopiśmie, niekiedy pisane we współpracy z Jerzym Topolskim, książka A. Malewskiego, J. Topolskiego z dziedziny metodologii historii, opublikowana w 1960 r., były to teksty o pierwszorzędnej wartości. Oznaczały one przewyżczenie schematyzmu w naszej refleksji metodologicznej, były próbą stworzenia swoistej empirycznej metodologii historii, przeciwstawnej w stosunku do tak popularnej w tamtych latach metodologicznej refleksji o charakterze niejako normalnym czy postulatycznym. W pracach tych chodziło o rekonstrukcję sposobów postępowania badawczego historyka, tych, którymi on rzeczywiście się posługuje, na podstawie rozległego materiału współczesnego i dawniejszego dziejopisarstwa. Chodziło o odpowiedź na jakże trudne pytanie: jak nauka historyczna niegdyś i dziś starała się docierać do dziejowej prawdy, nie zaś o to, co i jak historycy deklarowali na ten temat w różnych czasach. Była to zasadnicza zmiana perspektywy: nie ulega dziś wątpliwości, z perspektywy późniejszego dorobku naukowego w tej dziedzinie, że rozważania te miały doniosłe znaczenie na przyszłość. W poważnej mierze przyczyniły się do przezwyciężenia fatalistycznej deformacji teorii materializmu historycznego, owoce rzekomo niepodważalnych (dla dogmatyków) dywagacji o nieubłaganej konieczności tego, co się stało, o znikomości ludzkich wysiłków wobec nieuchronnych, fatalnych, ponad i pozaludzkich „praw” rządzących światem.

Bliski współpracownik zmarłego przed dziesięcioma laty uczonego J. Topolski podkreśla dziś:

„Rozwiązania Malewskiego, w jego pracach publikowanych, były pod wpływem metodologii, której model przedstawił Marks w Kapitałe. Dotyczy to nie tylko problemu idealizacji, czyli ściśle procedury metodologicznej, lecz również sprawy rozumienia marksowskiej teorii. Twórczość Malewskiego pełniła rolę zwalczania fatalistycznej interpretacji twórczości Marksa. Szczególnie irytowały Malewskiego różnego rodzaju wypowiedzi o „nieubłaganych śladach historii”, „kole historii”, czy „obiektywnych”, niezależnych od działań ludzkich prawach rozwoju”.

Nie trzeba przypominać — starsi pamiętają, dla młodszych zaś to przebrzmiała sprawa — kształtu i koloru ówczesnych dyskusji „o obiektywnych prawach historii”. Szczęściem są to już sprawy historii nauki, a nie jej współczesności. Z tego schematyzmu, z którym wojował A. Malewski, wyleczyliśmy się już dawno, i jest w tym i jego — znaczna — zasługa.

Tom prać A. Malewskiego „O nowy kształt nauk społecznych. Pisma zebrał”, opublikowany przez Państwowe Wydawnictwo Naukowe (1975) i poprzedzony obszernym wstępem J. Topolskiego nie przynosi czytelnikowi łatwej lektury. Humanistyka A. Malewskiego, czy to będą jego prace metodologiczne, czy rozprawy z psychologią społeczną, czy wreszcie jedyna obszerniejsza praca tego autora o zastosowaniu teorii zachowania, nie proponuje rozstrzygniętych recepturalnych. Inicjuje dyskusję, nakłania do refleksji, zastanowienia się. Nie narzuca gotowych wzorów myślowych. I chociaż od powstania tych prać upłynęło wiele lat, chociaż blisko pięćsetstronicowy tom zawiera dorobek zaledwie trzynastu lat twórczej pracy autora, pisma te stały się już klasycznymi tekstami naszej powojennej humanistyki. Nie znaczy to, by nie można było, aby nie trzeba było z nimi dyskutować. Przeciwnie: dziś jeszcze pobudzają do dyskusji.

J. Topolski, na zakończenie swego wstępu nie bez racji stwierdza: „Z tego, co Andrzej Malewski zdołał nam pozostawić, jeszcze długo czerpać będziemy twórcze inspiracje metodologiczne i teoretyczne. Dziś, gdy do uniwersyteckich programów dyscyplin humanistycznych wprowadzona została psychologia społeczna, wydanie prać Andrzeja Malewskiego staje się nie tylko ważnym faktem dla rozwoju nauki, lecz jednocześnie nakazem społecznym natury pedagogicznej. Twórczość Malewskiego uczy rzetelności badawczej, precyzji myślenia i uczciwości naukowej”.

A bez tych wartości nie ma rozwoju nauki.

LITERATURA

MIECZYŚLAW
MICHAŁ
SZARGAN

TAK WIDZĘ

Janowi Huszczy
Pochmurny złoty Janie
Tyś się nie zaparł
Człowieka ani cebuli
Rzekłeś nim trzeci kór zapiał

Ze źródła są wiersze

Nie wzniośłeś wieży
Dla sadów świętych
Twój sad pachnie
Papierówką najlepszej pamięci

Uczulony na ziemniaczany kwiat
Współczesny
Oczami ojców
Tak widzą drzewo smolne polskiego
wiersza

SPOD BUDKI z PIWEM

Józefowi Henrykowi Wiśniewskiemu

Józek
Piwo to miłość
Nasz chmiel czterdziestoleni
Gdy mówimy

A mówimy gorzko
W dymie
Siedemdziesięciu papierosów

A mówimy chmielnie
Ale tak że niebo by grudniowe pękło
Ale też pięknie
Jakbyśmy dotknęli
Biodra Eurydyki

Józek
Piwo to miłość
Nasz chmiel czterdziestoleni
Niebopienny gdy mówimy

W niedzielę ŁASK

Basi Walkównie

W dużym pokoju dywan kwitnie
Palma ma umyte liście
W niebieskim garnku
Złoci się rosół

Pani
Z lisem
Idzie na mszę

Szklane ślepia
Lypią
Na Bożego Golębka

Z powrotem
Odrapana kamieniczka
Pachnie kiszoną kapustą
I potrójnym bżem

W dużym pokoju
W telewizorze
Wojna

Przed miodowym kioskiem
Podnoszą Piwo Jasne

Wyjeżdżają autobusy
Rzewieje światło

W niedzielę. Łask

Amen

No i stalam przed tablicą ogłoszeń, a litery skakały mi przed oczyma. Listę obsadową „Medei” rozpoczynałam ja, młoda aktorka, od roku w teatrze, obsadzana dotąd w niemych rolach dam dworu lub dziewczyn w tłumie wieśniaków. Tkwiłam więc przed tablicą jak porażona, a w głowie miałam idealną pustkę.

A zaczęło się trochę jak w bajce o Kopicusku. Królewiczem był reżyser ze stolicy, młody ale już opromieniony jakimś nagrodami, okadzony pochwalnymi recenzjami. Któregoś popołudnia siedziałam przy stoliku w nieznanym o tej porze bufecie teatralnym, gdy przysiadł się do mnie jakiś młody człowiek. Rozmowa między nami nawiązała się szybko.

— Widzi pani — mówił — nie cenię sobie przenoszenia na scenę dosłownych doświadczeń życiowych aktora. To jakaś cytologia, cholerny fałsz i uproszenie! Zgadza się pani?

— Musielibyśmy żyć bardzo, ale to bardzo długo, jak Matuzalema — odpowiedziałam — żeby nastarczyć tych doświadczeń. Albo mieć kilka żyć. Co ja mówię? Kilkadziesiąt, albo kilkaset.

— Bravo! — ucieszył się — Jesteśmy całkowicie zgodni. Jedno życie ludzkie jest za ubogie, by dało się jego sokami wykarmić egzystencję wielu postaci scenicznych, jakie musi zagrać aktor w ciągu swojej kariery w teatrze. Znałem starych aktorów, którzy włożyli się po kawiarniach, knajpach, dworcach kolejowych i podpatrywali zachowanie ludzi, żeby je powtarzać na scenie. Jakże to było naiwne studia! Podpatrywanie świata przez dziurkę od klucza.

— Może pan śmiać się ze mnie — zabrałam głos — Niczego takiego jeszcze nie zagrałam... Ale wierzę, że gdy zajdzie potrzeba, znajdę wszystko, czego potrzeba dla stworzenia postaci scenicznej, w sobie.

— A zatem szukać będzie pani materiału do zbudowania roli w tej skarbonce, dzięki której pani Medea nosi w sobie doświadczenia i mądrość całej ludzkości. Czyli w podświadomości, archetypach.

— To bardzo mądre, co pan mówi. Ja to powiem prościej. Pragnę zagrać kiedyś Balladynę albo Lady Makbet. No to przecież nie popełnię przedtem morderstwa, żeby się poczuć zbrodniarką ani nie pójść do więzienia podglądać przez wziernik zachowania więźniarek.

Młody człowiek skinął głową.
— Słusznie. A czy toczyłoby się też Medei? I czy zdaniem pani Medea mogłaby zagrać młoda dziewczyna?

Przez następne trzy dni nie myślałam o tej rozmowie. Aż przypadkiem spotkałam znowu owego młodego człowieka. Tym razem przedstawiono mi go jako reżysera „Medei”. I tak się zaczęło...

Tego popołudnia odprawiłam Jana i przygotowałam się na przyjęcie reżysera. Przeszedł punktualnie o umówionej porze i zajął się natychmiast nabijaniem fajki. Wylałam przed nim wszystkie niepokoje związane z rolą Medei, ale im więcej gadałam, tym bardziej to było niezborne. Wściekła byłam o to na siebie, a wściekłość rozładowywałam w kolejnej fali gadulstwa. Wreszcie przerwałam i spytałam zaczepnie:

— No, czemu pan nie mówi?
— Słucham panią.
— To bardzo wygodne. Daje panu z góry pozycję tego mądrzejszego, przed którym ja się tu zgrywam, biedna idiotka.

— Weale nie. Nie twierdzą, że jestem głupszy od pani, ale w kwestii Medei pani jest mądrzejsza.

— Jak to? Znaczą, że nie mi pan nie poradzi? Sama się mam pruć i ślepać?
— Radzić to ja mogę. Ale za panią nie zagram.

— Wciąż mam wrażenie, że pan jest nieautentyczny w tej rozmowie. Przyjął pan pewną pozę... Niechże pan wyjmie z ust choć na chwilę tę okropną fajkę! Że też mężczyźni muszą sobie zawsze wymyślić jakąś protezę!

— Usuchał i powiedział spokojnie:
— Ale mi się dostaje w skórę. Mam dla pani propozycję. Mówmy sobie po imieniu, będzie prościej.

— Możemy, ale nie sądzę, że mnie tym ugłaszczesz!

— Ugłaszczę, bo jesteś moją Medeą. Nie Eurypidesa, a moją.

— Fyrmallion się znalazł od siedmiu boleści!

— Możesz, Ewo, wierząc i boczyc się na mnie, ale wprężnieta jesteś w wóz, którego ja jestem woźnicą. Na razie nie mówię, ale przyjdzie

moment, kiedy ci powiem: hejta albo wiata!

— W Rawskim, gdzie się rodziłam, woźnice wołają: odsie i kobie. A czy masz na mnie także bat, woźnico?

— Postanowiłem go nie używać, choć czasem ręka świerzbli.

— Gdy gryzę uzdę i drepczę w miejscu zamiast ciągnąć?

Wreszcie przystąpił do rad. Były równie niezborne jak moje wątpliwości.

— Trzymaj za mordę wszystkie zachcianki, żeby sobie pograć i zarobić brawka. Pamiętaj: ascetyzm i dyscyplina. No, oczywiście to nie znaczy, że masz całą historię wystudzić. Ale raczej rozdzierający szepc niż krzyk. Każdy ruch ma coś znaczyć. A dziś na próbie kręciłaś ramionami jak wiatrak na pełnym wietrze. I głos miałaś taki jakis koci, placzliwy. Pamiętaj, co mówiliśmy sobie na początku. Szukać motywów zbrodni Medei w psychologii jednostki byłoby wprost śmieszne. Ona wystawia Jazonowi zryczałtowany rachunek za krzywdy i cierpienia, jakich zaznała kiedykolwiek kobieta ze strony męskiego egoizmu. Za krzywdy realne i urojone, za tę — jak mówią Francuzi — petite difference, za strach młodych dziewcząt przed defloracją, za odrzuconą miłość, za niechciane ciąży, za bóle rodzenia, za rozstanie, gdy mąż idzie na wojnę, za to że z niej długo nie wraca, za... No, co ci będę wyliczał! Sama wiesz.

— Wiem — powiedziałam. — Ale weale nie jestem od tego mądrzejsza. To są wszystko słowa.

— A cóż ja ci mogę dać innego prócz słów? Mam ci podpowiadać środki aktorskie jak sufler, który podrzuca słówko?

— Nie, Jurku. Daj mi tylko jeszcze trochę czasu. Coś się we mnie wreszcie odorkuje.

— Ja cię nie popędzam. To jest twój czas, dziewczyno. Dysponuj nim, jesteśmy na twoje usługi.

— Ty tak mówisz, a koledy już się niecierpliwią.

— Ładuj się wewnątrznie i nie zwracaj na nikogo uwagi. Widziałas projekty kostiumów?

— Są piękne. Zwłaszcza kolchidzki strój Medei. Aż się boję, że mnie utlu-



cze, przestoni bogactwem, przez które się nie przebiję ze swoim biedniutkim aktorstwem.

— Jesteś wróżką, czarodziejką. Przebijesz się. Sięgniesz do pokładów wiedzy magicznej i zawojujesz widownię. A tymczasem wyczaruj nam po kielichu czegoś mocnego!

Gdy została sama, musiałam się zdrzemnąć, bo na dzwonek u drzwi zerałam się całkiem nieprzytomna i jak ślepiec dotarłam do klamki.

— Stan mojej matki pogorszył się — powiedział Jan, jakby się tłumacząc.

— Nie powinienes być teraz przy niej?

— Sąsiadka przyszła ją umyć i przebrać. Mam trochę czasu.

— Całe życie mieszkasz z nią razem, biedaku, prawda? A kiedy straciłes ojca?

— Hitlerowcy rozstrzelali go w 1943. Przedtem ukrywał się poza domem, konspirował. Prawie go nie pamiętam.

— Rozumiem — powiedziałam. — Ojciec twój był z pewnością bohaterem i męczennikiem, ale do mnie bardziej przemawia bohaterstwo tej samotnej kobiety. Może dlatego, że sama jestem baba, że należę do tej części rodu ludzkiego, którą tak łatwo skazuje na samotne posowanie się z życiem. To piękne, że twoja matka potrafiła cię wychować i wykształcić.

Coś mi próbował odpowiedzieć, ale głos mu się załamał. Objęłam go, nie zastanawiając się, za szyję i lekko pocałowałam w skroń. Zareagował trochę jak dziecko, ufnie przytulając się do mnie. Pocałowałam delikatnie głdzie jego włosy i trwałym w ten sposób spleceń w uścisku, czując ciepłą miękkość swoich ciał. Później, ale dopiero znacznie później zorientowałam się, że takiej sytuacji nie wolno przedłużać bezkarnie...

Po wszystkim on szepcł mi do ucha

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

JA? MEDEA?

(FRAGMENT)

jakieś niepotrzebne, banalne słowa i całował moje ramię.

— Idź — przerwałam mu — Wracaj do matki. Chcę być sama.

Wyszedł posłusznie, a ja przysiadłam przed lustrem. Nie byłam z siebie zadowolona, o nie! Nie miałam zamiaru oddawać się Janowi. Zaczęło się tak niewinnie, współczulałam mu szczerze i nagle namiętność spadła na mnie jak worek zarzucony na głowę. Skąd się to wzięło? Jan nie był moim ideałem męskim. Rozchyliłam szlafrok. Na ciele miałam podchodzące krwią plamy — ślady jego pieszczoł. Pewno będę miała siniac na całym ciele — pomyślałam — Dobrze, że nie próbujemy jeszcze w kostiumach. Suknie Medei są głęboko dekolowane...

Medea! Wystarczyło mi to hasło wywoławcze, by wszystko stało się naraz jasne. To nie ja zażyłam rozkoszy z Janem, tylko ona, czarownica i wściekła samica, mściwiec i uległa kochanka, nie nasycona zarówno w zemście, jak i w pieszczołach!

Na próbie generalnej obecny był Stec. Wrócił właśnie z festiwalu w Cannes, gdzie jego film „Tratwa Meduzy” otrzymał nagrodę specjalną jury. Siedziałam przebrana już w kostium w swojej garderobie, gdy wszedł Jerzy ze Stecem.

— Chciałem ci przedstawić Wilhelma, Ewo — powiedział.

— Niech się pani nie gniewa — zabrał głos z uprzedzającą grzecznością Stec — że przycupnę gdzieś w kąciuku. Proszę próbować, jakby mnie nie było.

— Nie sądzę, żeby po atrakcjach Lazurowego Wybrzeża swojska, prząsna Medea mogła być dla pana atrakcją — odpaliłam bez chwili zastanowienia.

Odeszli i miałabym ich z głowy, gdyby nie podsunął się do mnie Staszek i nie mruknął z wyrzutem:

— Musiałas mu tak dosolić? On szuka aktorki do nowego filmu, nie rozumiesz?

Wścieklałam się:
— Wiesz, gdzie ja ich mam, filmowców, wiesz?

Moja furia była uzasadniona. Jutro premiera, ja jeszcze nie gotowa z rolą, a oni mi tu zabierają próbę. Zamiast pracować nad Medeą mam się zaprezentować Stecowi. Ja jako ja. Wprawdzie oglądać mnie będzie przez pryzmat postaci scenicznej, ale po to by wyszukiwać spod niej jakieś niewiadome mi potencjalne walory, przydatne dla jego przyszłego filmida! Postanowiłam zagrać tak, żeby mu się nie spodobać. Czyli jak najbardziej w stronę umowności teatru, z przerysowaniem. Jakiego ekran kinowy nie zniesie.

Po paru pierwszych zdaniach poczułam, że coś się we mnie odmieniło. Nie umyslałam sobie, na czym to polega, ale zyskałam świadomość, że jestem inna niż dotąd na próbach. Więcej: nabrałam wewnętrznego przekonania, że gram właśnie tak jak winnam. Gdy wyrzucałam z siebie tekst zawiśa wokół mnie cisza, ale nie próżnia. Nie miałam wątpliwości, że moje aktorstwo trafiło do kolegów i spleję kłamrą całe przedstawienie.

Czy rzeczywiście zapomniałam o Stecu? Nie całkiem. Mówiłam właśnie do Staszka — Jazona kwestię: „Nie chcę niczego od ciebie, a z twoich pobratymców sobie kąpie. Schowaj dla siebie dary. Podarunki lotrów nie przynoszą szczęścia.”

Te słowa wypowiedziałam głośno, ale podtekst dalał inny. W miejsce „pobratymców” pomyślałam sobie: „filmowców”. I ulżyło mi trochę.

Próba dobiegała końca. Stec wszedł do mojej garderoby wraz z reżyserem, by się pożegnać. Świadomie pomijając go, zwróciłam się do Jurka.

— Tak chciales?

Nazajutrz rano obudził mnie Jan.
— Nie chcę ci przeszkadzać, Ewu, ale moja matka...

— Co takiego?

— Jest umierająca.

— Ze też to musiało się zdarzyć teraz, kiedy mam premierę. Nie mogę ci w niczym pomóc. Mam skrepowane ręce i knebel w ustach.

— Nie przejmuj się niczym, Ewu, nie powiedział Jan. — Sam się musisz z tym uporać. Przykro mi tylko, że nie będę mógł być dzisiaj w teatrze.

Patrzyłam przez szparę — powiedziała inspicjentka, wchodząc do mojej garderoby. — Sala nabita po brzegi. W ogóle szum wokół ciebie, Ewo.

— Jaki znów szum?

— Nie czytałaś dzisiejszej gazety? Stec udzielił wywiadu i powiedział, że chce cię zaangażować do swego nowego filmu.

— Niech głowy nie zawraca!

— To ci stwarza dobre entrée. Recenzenci już przeczytali opinię Steca o tobie jako o aktorce.

— Mam w nosie.

Inspicjentka wybiegła, a we mnie gniew rósł i wzbielał. Recenzenci! Dobrze, że o nich sobie przypominałam! Chcę dziś grać przeciw nim, rzucić im w twarz moją Medeę jak rekawiczkę. Żeby im się mniej wygodnie zrobiło w miękkich fotelach w trzecim rzędzie i żeby pogorszyło się ich znakomite samopoczucie. Jakże prawo do sądenia mnie mają ci ludzie? Co wiedzą o tych tygodniach zmagania z oporną materią roli, o nieprzerwanym obcowaniu w dzień i w nocy z okrutną i nieszczęśliwą czarodziejką z Kolchidy! Zatapia w fotelach spalone tyłki, poskrobła się w lysie głowy, poskubła swoje brody czy wąsy, i albo będą mieli mi za zło, albo protekcyjalnie pokiwają głową. Och, jak bym dziś chciała dać wam w skórę, moi panowie! Szczęśliwym zbiegiem okoliczności i wszyscy jesteście mężczyzmi. To już wystarczy, by Medea was zniemawiała i żeby poprzysięgła zemstę. Strzeżcie się jej magicznej siły! Za chwilę zacznie działać.

Jakby na zamówienie przemówił megafon głosem inspicjentki:

— Uwaga, drugi dzwonek! Aktorzy proszeni na miejsce.

Ostatnie spojrzeńie w lustro i trzeba ruszać na dół. Nogi ciążą mi, w żołądku czuję ssanie. Prawda! Od rana nie miałam w ustach. Wychodzę na scenę i ustawiam się na swoim miejscu. Jeszcze jestem bezpieczna, nie wystawiona na setki spojrzeń, odgródzona od publiczności grubą przegrodą kurtyny. Zza niej dobiega szmer widowni jak pomruk nadchodzącej burzy. Za chwilę otworzy się przede mną czerń, pozorna pustka, a w rzeczywistości przyczajona, zdradliwa przysawka. W tę przestrzeń runcie mam pierwsze słowa tekstu, rozdzielając ciszę. Jaka zapanowała po trzecim dzwonku. Ale uwaga! Kurtyna urosła się niemal bezszelestnie, jej ruch owionął mnie chłodnym podmuchem. Już zaczął biec mój czas!

— O, bodaj przekłeta łódź Argonautów nie dotarła była nigdy do Kolchidy! O, bodaj nie padły nigdy w lasach Pellonu sosny, które uzbroiły w włosa ręce poszukiwaczy złotego runa...

Kto to przemówił? Ja? — Medea? — Ja — Medea?...

* Cytaty z „Medei” Eurypidesa w transkrypcji Stanisława Dygata.



Fot. Danuta B. Lomaczewska

JANUSZ
SKOSZKIEWICZ

Janusz Skoszkiewicz urodził się 11 stycznia 1922 roku w Jadwisinie koło Zegrza nad Narwią. Studiował w łódzkiej Szkole Nauk Administracyjnych. W latach 1950-1953 przebywał w Wybrzeżu, w 1953 r. na stałe osiedlił się w naszym mieście.

Jako poeta dał się poznać w 1948 roku publikując swe pierwsze utwory na łamach „Kamery”, a następnie wydał dwa zbiory wierszy w serii „Biblioteki Poetów” Wydawnictwa Łódzkiego: „Na krawędzi czasu” (1957) i „Ogrody” (1963). W „Czytelniku” opublikował swą pierwszą powieść „Kolorowe miasteczko” (1961), a później w łódzkiej oficynie wybór opowiadań „Twarz z wosku” (1967) oraz dwie powieści: „Śniadanie na trawie” (1972) i „Brzeg” (1973).

Pisarstwo Skoszkiewicza obce jest wszelkim krótkotrwałym modom i nowinkom literackim. Próżno w nim szukać efektownych chwytów formalnych. Wartość tej twórczości leży w rzetelności warsztatu pisarza i w interesujących przemyśleniach, osnuwających współczesne tematy obyczajowe i moralne. Skoszkiewicz próbuje spoglądać na teraźniejszość przez pryzmat mitów i norm etycznych obowiązujących w przeszłości i przez nią uświęconych. Jeżeli mity się nie sprawdzają, a normy moralne zawodzą, nie naszą dzisiejszość obwinia, ale owym normom i mitom zarzuca fałsz. W wierszu „Taniec klasyczny” ze zbioru „Ogrody” pisze:

„Kłamie Homer i kłamie ten co go zrodziła Mantua
Wstępne Penelopy zdradzą szlache-
tnych Odysów
Eneasz zapłacze samotny”.

Świat, w którym owe normy i mity funkcjonowałyby, nie istnieje i nigdy nie istniał. Jedynie w okresie dzieciństwa i w latach wczesnej młodości traktuje się owe, wyniesione z przeszłości, wzorce całkiem serio. Tym przekonaniem dał Skoszkiewicz wyraz m. in. w wierszach: „Nad młodością”, „Warkocz Bereniki” (ze zbioru „Na krawędzi czasu”). Pisał w wierszu „Arkadia” (z tomu „Ogrody”):

„Gdzie im tam do Arkadii
w Arkadii”.

Również w „kraju lat dziecińczych” nie panuje klimat arkadyjski. W znakomitym opowiadaniu „Córka ogrodnika” (ze zbioru „Twarz z wosku”) Skoszkiewicz ukazał dramat dziecka, kochanego przez rodziców i wychowanego w atmosferze sielskości.

Autor pięknych wierszy o przemijaniu, poświęca temu tematowi swą powieść „Śniadanie na trawie”. Próżno bohater utworu usiłuje zrekonstruować dzieje życia Bereniki na podstawie skąpych źródeł historycznych. Naudacnie opowiada kochance o miłości, za spełnienie której warto życiem zapłacić. Krótka rozłąka między, zdawałoby się, bliskimi sobie ludźmi sprawia, że nie czują się sobie potrzebni.

Rozrachunkiem z niedawną przeszłością jest powieść „Brzeg”. Rozlicza się w niej autor z zysków i strat, jakie do biografii pokolenia Kolumbów wniósł rok 1939 pierwsze skompliko-

wane lata po odzyskaniu niepodległości. I w tej powieści wątkiem przewodnim jest miłość. Bohater „Brzegu” po wielu perypetiach losowych, nieudanym małżeństwie z drobnomieszczanką, wraca do swej pierwszej miłości, z którą rozdzieliły go lata wojny. Podobnie jak w poprzedniej powieści miarą napięcia uczuć bohaterów była historia życia Bereniki, tak w „Brzegu” są nią losy Tristana i Izoldy.

Poczucie humoru nieobce było Skoszkiewiczowi już w jego twórczości poetyckiej. Oto w wierszu „Ewa” (ze zbioru „Na krawędzi czasu”) pisal:

„Z głową opartą na zgiętym ramieniu
opadła w trawę senna i leniwa (...)

Nie wie (...)
że jak Zuzannę podgląda w kąpiel
spacerując tu uczony jeleń
Przystanął pięknym zdziwiony i ciska
i teraz z trudem sobie przypomina
Klasyfikuje i w notisie pisze
„Homo sapiens zwierzę leniwe femina”.

Nie dziwota więc, że tryskającą dowcipem i pełną wdzięku okazała się jego pierwsza powieść „Kolorowe miasteczko”. Moim zdaniem jest to najciekawsze osiągnięcie w dorobku prozatorskim Skoszkiewicza i z tego względu, wbrew chronologii, omawiam ją na końcu. Jest to zabawna powieść o przygotowaniach do jubileuszu osiemsetlecia fikcyjnego miasteczka Piaskowa. Ów wymyślony na fali obchodów tysiąclecia Polski jubileusz powoduje całkowite przeobrażenie opisywanej miejscowości. Nie ogranicza się ono do przemalowania z okazji lokalnego święta wszystkich bud i ruder na najbardziej nieprawdopodobne kolory, czy do pomysłu pomalowania zabytkowej rzeźby Neptuna na olejno po to, by wyglądała jak nowa. Przeobrażeniu podlegają i ludzie. Wyrwane z nudnej do tej pory egzystencji, małomiasteczkowej piękności domagają się zorganizowania wyborów Miss Piaskowa. Kierownik obskurnej gospody (kapitałnie nakreślona postać) własnymi siłami przekształca lokal na pierwszorzędną reataurację marząc, że tu właśnie spotykać się będzie „wielki świat”. Całe miasteczko, mimo że to Sodoma i Gomora, wybiera się do miejscowej remizy strażackiej na strip-tease w wykonaniu samej Brigitte Bardot itd.

Uważny czytelnik dostrzeże pewne analogie między „Kolorowym miasteczkiem” a powstałym znacznie później „Awansiem” Redlińskiego. Różnica między tymi utworami leży w interpretacji faktów, jest więc zasadnicza. Podczas gdy Redliński ironizuje i wykpiwa, Skoszkiewicz traktuje swoich bohaterów z przyzwyczajeniem oka, ale życzliwie. Książka ta zblizona jest w swym klimacie raczej do uroczych powieści Władysława Zambryckiego, autora „Naszej Pani Radosnej”.

Poczucie humoru, widoczna lekkość pióra, wreszcie ważkość problematyki zyskały Skoszkiewiczowi liczne rzesze czytelników.

DOROTA
CHRÓSCIELEWSKA

Długoletni romans Barbary z Zygmuntem Augustem nie dał się ukryć, wiele na ten temat mówiono i pisano. Przeważał jednak pogląd, że król znużył się wojewodziną, uważano, iż ożenił się z przedstawicielką któregoś domu panującego i zapomni o swej miłośnicy. Jako przykład podawano postępowanie jego ojca, który także przez wiele lat wspólny z osławioną Katarzyną Telniczanką, wszakże porzucił ją, by ożenić się z Barbarą Zapolyą. (Bona była jego drugą żoną). Tak samo prawdopodobnie sadzili rodzice Zygmunta Augusta, traktując jego wileński romans jako przysłowiowy grzech młodości. Niepokoju wzbudziły dopiero wieści nadchodzące latem 1547 roku z Litwy, mówiące już nie o romansie lecz planowanym, a nawet zawartym małżeństwie z Barbarą. Ślub zawarto, jak wiemy, w tajemnicy, lecz wieść o nim szybko rozszalała.



Drzeworyt Michała Starkmana (według portretu staropolskiego)

ZBIGNIEW KUCHOWICZ

SPÓR O MAŁŻEŃSTWO

W tej sytuacji do akcji przystąpił obojętny młody król, przybywając do Polski jesienią 1547 roku. Skrycie jednak sobie stronników na sejmie piotrkowskim w pierwszych tygodniach 1548 roku. W tym czasie oficjalnie zawiadomił o swym małżeństwie przybywającego z granic Stanisława Łaskiego, polecając mu — gdy wieść o tym dotrze na dwór Rzeszy — by dawał „jak najobchodniejszą informację” o tym, co o nowym małżeństwie króla „zrzętom niemieckim (...) Dla nadania wagi tego argumentowi posłał jednocześnie młody król Łaskiemu cyrograf na 500 talarów do domu bankowego Fuggerów, „abyście ochotniejsi byli w tych tam służbach naszych”.

Około 2 lutego 1548 roku Zygmunta Augusta wyjął oficjalnie swój związek rodzicom, działało się to także w Piotrkowie. Był to moment iside dramatyczny.

Stary, zdziwiony, jak pisał pewny historyk, Zygmunta I przyjął tę wieść na pozór spokojnie, lecz oświadczył, że „Jest to rzecz niesłuszna i być nie może”. Według wersji rozsyłanych przez Bonę, zresztą wiarygodnych, Zygmunta Stary ogromnie bolał nad tym krokiem syna, głosząc nawet, że ostatnie zmariwienie przysięgłszy jego śmierć. Jest faktem, że przed zgonem zgodził się wysłać listy do pierwszych dygnitarzy państwa wyrażające ich, by nie uznawali Barbary za małżonkę Augusta, podkreślając, iż małżeństwo to zawarte zostało bez zgody starego królestwa, a niemające senatorów do sprzeciwu wobec tego związku. Synowiacy te listy Zygmunta Stary pisał między innymi do kasztelana trockiego Hieronima Chodkiewicza:

„Oznajmujemy (...) żeśmy na małżeństwo króla J. M. młodego takie, które by hanie przyniosło całej Koronie naszej i Wielkiemu Księstwu Litewskiemu nie przyzwolili, ani przyzwalamy (...) zeznamy, aby Twoja Mość z miejsca swego na to nieprzywzwoite małżeństwo nie przyzwalał, a gdybyś był wezwany na to wesela, abyś tam nie jeździł. Bo, jeśliś tam pojechał, to byłbyś i ty przyczyną tego poniżenia króla J. M. młodego i państw naszych, którego przysłoby nam, ku żalności wielkiej i zelźnia państw naszych znaną (...) Zadamy tedy byś pilnie o to zabiegali, by król J. M. młodego odwieść od tego nieprzyzwoitego małżeństwa, które by i nam i Jego Miłości wielkie poniżenie, a państwu naszym zelźliwość niemala przynieść miało”.

Jeszcze mocniej zareagowała królowa Bona. Wodała w rozpaczy, zalewała się łzami, małżeństwo ukochanego jedyna-

ka traktowała jako życiową katastrofę, przekreślenie ambitnych planów rodzinnych, dynastycznych. Po śmierci starego króla kontynuowała też energiczną akcję mającą na celu stoperdowanie mariażu. Agitowała w tym celu wielmożów państwa, przedstawiała czyn syna jako nieposłuszeństwo wobec rodziców, które może spowodować karę boską, akcentowała szkodliwość związku. W liście do córki Izabeli węgierskiej, wystanym po zgonie męża, pisała:

„Pomnażają bardziej strapienia nasze te nieszczesne i niezgodne śluby syna naszego w Litwie, w których on przeciw wszelkim zdrowym radom trwa uporczywie, przez które nie tylko zjedna sobie u wszystkich monarchów imię ohydne, ale nawet u własnych poddanych swoich pojździe w pogardę”. Zdecydowany ośm rodziców i niechęć opinii spowodowały, że Zygmunta Au-

gust nie śmiał publicznie ogłosić swego małżeństwa. Tylko potajemnie organizował przyszły dwór żony, pertraktował z rozmaitymi dygnitarzami. Powróciłszy weszona wiosna do Wilna gryził się, martwił i z tego względu nie wzywał nawet przybywającej w Dubinkach Barbary. Śmierć ojca zmieniła sytuację, jak już pisałem, w kwietniu ogłosił oficjalnie swe małżeństwo. Po przybyciu do Krakowa rozwinął wraz z Radziwiłłami szeroka działalność na rzecz sprawy Barbary.

Jego sytuacja była trudna. O małżeństwo wybuchł spor nie mający w naszych dziejach precedensu, który przez dwa lata pasjonował szlachecką opinię publiczną. Opinia ta w przytłaczającej większości wypowiedziała się zdecydowanie przeciw małżeństwu. Okoliczności zawarcia małżeństwa spowodowały, że był to m. in. spor prawicowy, formalny. Według wielu statystów król nie powinien żenić się bez zgody rad koronnych. Nie mówili o tym wyrażnie prawa krajowe, zwyczajowo jednak królowie konsultowali swe plany matrymonialne ze swą radą. (Tak uczynił przy następnym małżeństwie sam Zygmunta Augusta). W zawartym bez wiedzy i zgody rady małżeństwie dostrzegano naruszenie praw Rzeczypospolitej, przejaw absolutyzmu.

Znaczną część szlachty koronnej domagała się porzucenia Radziwiłłówny obawiając się, że król będzie miał z nią potomków, którzy zajmą tron na dziedzinie Jagiellonów Litwie i w ten sposób uniemożliwią unie. Obóz szlachecki w ogóle niechętnie widział małżeństwo z przedstawicielką rodu magnackiego, uważano, że „zajęcie miejsca przy boku króla przez przedstawicielkę możnego rodu” wzmożni atakowany przez ruch egzekucyjny obóz oligarchii. Dla ruchu szlacheckiego korzystniejsza byłaby sytuacja, gdyby na Wawelu zasiadła, jakas księżniczka, czy królowa reprezentująca obca monarchie.

Większość magnaterii koronnej była znów niezadowolona z awansu litewskich Radziwiłłów, którzy dla dostojnych Kmitów, Tęczynskich i Górków byli niewyrzyskami, przedstawicielami odmiennego, nieco lekceważonego kręgu kulturowego. Radziwiłłom zazdrościli też rywalizujące z nimi rody litewskoruskie, na przykład Chodkiewiczów, Ostrogskich. Trzeba jednak nadmienić, że Litwa w tym sporze zajmowała stanowisko bardziej neutralne, w zasadzie godziła się z decyzją swego Wielkiego Księcia.

Należy wszakże uwzględnić także inne, szersze aspekty całej sprawy. Statystyci uważali, że spór o małżeństwo spowoduje nie tylko zamieszanie lecz wreszcie kryzys polityczny państwa, wymagającego przecież reform, unowocześnienia. Spór o Barbarę również odwręcał, chwilowo uniemożliwiał. Wynosił racji stanu powodowały, iż pewne kręgi domagały się porzucenia Radziwiłłówny sadząc, że w ten sposób polepsza się perspektywy na samąację stosunków społeczno-politycznych. Postawie te gruntowały obawy o reperkusje, jakie małżeństwo może spowodować w polityce zagranicznej państwa. Wielu doświadczonych polityków z niepokoje patrzyło na kontakty, jakie zwałczające się strony nawiązywały z ekspansywnie nastawionymi Habsburgami. Z jednej strony z obozem cesarskim związany był popierający małżeństwo hetman Tarnowski oraz Radziwiłłowie, przecież przez cesarza obdarzeni w tym czasie tytułem księcia. Z drugiej strony szlachta i panowie wielkopolscy już wiosną 1548 roku myśleli o zmianie władcy, o nowolaniu na tron polski właśnie Habsburga! Konflikty, spowodowane przez małżeństwo królewskie, były więc na ręce obozowi cesarskiemu, który od początku mógł szachować Zygmunta Augusta i dyskutować jego trudną sytuację na arenie międzynarodowej.

Opóźnienie wobec małżeństwa cementowały poczynała wyfrawnego polityka, jakim była niewątpliwie królowa Bona. Można przypuszczać, że przez przyczyn-

rze, nieżli przebywał w towarzystwie „pani Barbary” i podażły za matką na Mazowsze. Ślamiad Bona bacnie śledziła przebieg zdarzeń i utrzymywała ścisły kontakt z opozycją.

Filarem tej opozycji był w Małopolsce marszałek wielki koronny i wojewoda krakowski Piotr Kmita. Należy podkreślić, iż był to człowiek wykształcony, światły, jeden z najwybitniejszych przedstawicieli Odrodzenia. Kmita potrafił bardzo zdecydowanie kierować masami szlacheckimi, przedstawiając się w roli zagorzałego zwolennika unii. Nie obce było mu też stosowanie przemocy i podstęp. Był to, jednym słowem, przeciwnik potężny i bardzo niebezpieczny. Zaczętym wrogiem Barbary był także inny wielmoża małopolski, powiernik królowej Bony — wojewoda sandomierski Jan Tęczynski. Jego niechęć do Barbary była nawet wyjątkowa, publicznie głosił, „żeby chętniej wolał Solimana Turczywa (sultana tureckiego) w Krakowie ogładać, niż tę mięć za królową w Polsce”. Pośród magnatów wielkopolskich wielkim przeciwnikiem małżeństwa okazał się, ciesząc się dużym autorytetem, kasztelan poznański Andrzej Górka.

Magnaci i statystyci rozważali sprawę małżeństwa królewskiego przede wszystkim w aspekcie programów i układów politycznych, osobistych i koteryjnych korzyści. Masy szlacheckie podchodziły do sporów w sposób bardziej emocjonalny, eksponując właśnie aspekty moralny. Siad też dawały posłuch liernym pismom i paszkwiłom, które przedstawiały Barbarę jako kobietę złą i niemoralną. Nie tylko rozwoźdono się nad jej przegrodami, lecz w perfidny sposób oczerniano, przysławowo opluwano. Zarzucono jej na przykład, że była nieprawą córką Zygmunta Starego, siad też Zygmunta Augusta był jej bratem, a małżeństwo wezłem kazirodzym. Inne paszkwile głosiły, że była kochanką swego brata stryjczego Mikołaja Czarnego. Oskarżano ją nie tylko o lubieżność, bezwstyd, uwiedzenie króla przy pomocy nieencych, diabelskich praktyk, lecz także o zbrodnie i trunelcielstwo!

Liczne pisma i paszkwile nie tylko rozpowszechniano pośród zainteresowanych, lecz przybijano i przylepiano do ścian ratuszy, zamków, dworów pańskich. Akcja ta nie była prowadzona przez jakąś jedną zorganizowaną grupę, koterię, była to działalność spontaniczna, najwyżej tylko podsycona, okazująca autentyczne nastroje szerokich kół społeczeństwa. Żadne dotąd wydarzenie w dziejach wewnętrznch Polski nie wywołało tak żywiołowych reakcji jak małżeństwo Zygmunta Augusta z Barbarą Radziwiłłówną.

Billi w małżeństwie zarówno anonimowi, parafialni plotkarze i partykularni stróże dobrych obyczajów, jak również nasi luminarze, sławni pisarze i publicyści tej doby. Dość przypomnieć, że atakowali Barbarę taey ludzie jak Mikołaj Rej, Andrzej Trzeciński, Stanisław Orzechowski. Rej obrzucał się między innymi na „pana szalonego”, to jest Zygmunta Augusta, który stracił głowę dla Barbary, który zawinił:

„Kładąc ziło na parszywe ciało,
Które plodu już nie będzie miało,
Bo ten żywoż czar zapieczelował,
Iż nie według Boga postępowal”.

Dla ludzi wychowanych w pewnych tradycjach plastycznie prezentowany wizerunek „niecnotliwej”, „nierządnej” Barbary stanowił szok, wywoływał nie tylko sensację, lecz szczerze zrozpaczenie i głęboką nienawiść. Nie chcieli dopuścić by „ludaczka” zasłała na Wawelu, by „nierządnie” ozdobiła polską, królewską koronę.

D.C.N.

POSAG DLA WOJEWODY

(Dalszy ciąg ze str. 1)



nad kufelkami piwa, ktoś tam piastujący butelkę z płynnym gazem... Wszystko świadczy o tym, że ruch jest właśnie świąteczny, właśnie wycieczkowy.

— Jagiellonka nie jest chyba jedyną restauracją w Sulejowie?

— Jeszcze jest druga restauracja, restauracja „Słoneczna”, która również jest przygotowana do sezonu letniego.

— Ale właśnie jak? Co państwo oferujecie?

— Jeśli chodzi o zakład restauracji „Jagiellonka”: zwiększona liczba pracowników jest; nie korzystają z urlopów, tylko po sezonie...

— A w karcie co jest?

— Bardzo duży wybór, tak, jak na przykład, proponujemy: zsiadłe mleko, maślanke, zupy chłodne, również flaki,

— Nie, nie, nie.
— Spokój, cisza.
— Cisza, spokój.

5.

Przed kilkoma minutami minęliśmy wieś Szarbsko, a potem, piaszczystą drogą przez chude dosyć zagajniki i lasy, dobiliśmy nie bez trudności do Pilicy. Stoimy nad samym brzegiem, rzeka płynie pośród rozrośniętych drzew i krzaków. Kilku młodych ludzi dość pospiesznie po prostu zwiewa; zdaje się, że próbowali łapać ryby za pomocą rozciągniętej między żerkami sieci, a ponieważ jest to nie bardzo dozwolony sposób łapania, to na nasz widok zabraли się czym prędzej. Urok tego zakątka, gdzie rzeka zakolem raz w prawo, raz w lewo przewija się we wspa-

tamędy wracać do Łodzi; tymczasem tylko spoglądamy na tę górę, na której stoi wieża. Chyba będzie można z tej wieży popatrzeć na świat, który otacza ten spokojny zakątek, do którego chyba problemy wolnej soboty wcale jeszcze nie dotarły.

7.

Na frontonie kościółka, od wejścia, tablica z następującym napisem:

„Janowi Chrzczeliowi z Zakliczyna Jordanowi, generałowi wojsk polskich, posłowi na Sejm Konstytucyjny 3 Maja roku 1791, urodzonemu w 1746 a zmarłemu i pochowanemu w Michnikach dnia 23 marca roku 1810 kładą ten pomnik w dowód wdzięczności przywiązane córki”.

W okolicach Skotnik, toczył nieszcześliwą bitwę jeden z „czerwonych” dowódców powstania w 1863 roku, Oksiński. Są w Skotnikach jakieś interesujące ruiny i zabytki, jest coś w rodzaju rynku, rzecz, jak na wieś, dość niezwykła.

W kościele skotnickim coś piszczy i skrzypi a potem cisza.

— Jest na obrazie napis.
— Tak, jest napis.
— 1531. Nieznanego malarza?
— Nie.
— Bardzo piękny jest, rzeczywiście. Czy turyści zaglądają tutaj?
— Zaglądają.
— Wiedzą, że tu można coś zobaczyć?
— Niektórzy wiedzą; na przykład na kolonie tutaj przyjeżdżają... Rodzice też przyjeżdżają.

8.

Pada deszcz.

Rozpadało się. Kiedy we wsi Taras, stanie się pod potężnymi dębami, które przy drodze rosną, pod gęstymi lipami i ślicznymi klonami to słychać jak wśród liści szumi ten niezły już deszczyk.

Dopiero o trzydzieści parę kilometrów od Sulejowa natknęliśmy się na wyraźne ślady życia wycieczkowsko-wczasowego na prawym brzegu Pilicy. Trzydzieści parę kilometrów od Sulejowa, ale tylko siedem od Przedborza. Tych siedem kilometrów przebyliśmy już w słabnącym deszczu. W Przedborzu widok naszymi magnetofonów sprawił, że jeden z dwóch siedzących przy budce z piwem mieszkańców, zaproponował, że się wypowie.

— Od nowej władzy wojewódzkiej prosimy pobudowanie nowych sklepów, pawilonów, zakładów pracy, żeby nie jeździli po Katowicach pracować...

— Zalew.
— ... tylko na miejscu, razem z rodzinami. No i żeby basen odbudowali...
— Zalew!
— ... czy zalew niech zrobią jakichś, no...
— Zalew też potrzebny!
— Tak jest. To ja dziękuję.

9.

Jesteśmy na moście w Przedborzu, przejeżdżamy po raz drugi Pilicę, która tu, pod naszymi stopami, płynie między kępami drzew i krzewów korzytem znacznie węższym niż te, jakie przecinaliśmy w Sulejowie. Nic dziwnego, zrobiliśmy trzydzieści parę kilometrów w górę rzeki, a jak wiadomo, w górę rzeka jest zawsze nieco węższa niż w dolnym swoim biegu. Pora kończyć naszą dzisiejszą ekskursję, zresztą pogoda zmusza nas do tego. Kapie nam nieco na głowę i na plecy.

Tuż nad brzegami rzeki, przy moście bardzo ładnie rozlokowany ośrodek wycieczkowsky PTTK w Przedborzu. Kajakami powyciągano na brzeg, co wskazuje, iż wówczas kiedy jest pogoda, to i w Przedborzu z uroków, jakie daje latem rzeka, wiele osób korzysta. I w wolną sobotę chyba także.

Wracaliśmy po lewym brzegu Pilicy, przechadzając się po szmacie drogi między dwoma mostami. Dzieli je prawie czterdzieści kilometrów całkowitej długości. Dzieli je też, te dwa mosty: sulejowski i przedborski — ponad czterdzieści kilometrów biegu Pilicy. Co zauważyliśmy?

Po pierwsze, że tylko lewy brzeg rzeki wykorzystywany jest — indywidualnie i instytucjonalnie — jako teren rekreacyjny.

Po drugie — że na tym lewym brzegu wypoczywają prawie wyłącznie ludzie mieszkający i pracujący w miastach leżących na zachód od rzeki: Piotrków, Łódź, Radomsko, Częstochowa.

Po trzecie — że mieszkańcy byłego kieleckiego województwa nie korzystają z brzegów Pilicy, jako z terenu wycieczkowskiego, a na były kielecki brzeg przedostają się — i to tylko w pobliżu mostów — czasowicze „zachodu”. Wszystkie te fakty skłoniły nas do stworzenia teorii o wpływie mostów na rekreacyjną eksploatację prawego brzegu rzeki. Trochę za mało chyba mostów nad tą rzeką, która administracyjną granicą być przestała, ale w innym sensie granicą jest nadal.

EDWARD SZUSTER

TADEUSZ SZEWEA

MIĘDZY DWOMA MOSTAMI

20 czerwca 1975 roku, godzina 11, wolna sobota.

— Wolna sobota, a tu widzę, że zajęte przed magazyn meblarski wóz i panowie załadowujecie tapczany.

— Wolna sobota wolną sobotą — no, mnie brakuje do planu. Brakuje mi około 60 tysięcy. No, chciałbym to zrobić, bo wie pan... No, a meble są zawsze poszukiwane, prawda?

— Kto te wersalki kupuje?

— Wersalki idą na wieś, ponieważ młode małżeństwa, ci którzy mieszkają w większych miastach, w blokach, szukają czegoś wygodniejszego, prawda? Więc mogą to być jakieś kanapy typu fransze, czy kanapy rozkładane, takie żeby była duża powierzchnia do spania a mało żeby zajmowała...

— Co poza tapczanami, poza wersalkami...?

— Wszystko. Co tylko może być w sprzedaży. Tak że wszystko idzie.

— Ile pan przeciętnie miesięcznie sprzedaje?

— Obroty moje w ciągu miesiąca sięgają miliona. Nawet milion dwieście tysięcy. Meble idą w całą Polskę, ponieważ Sulejów leży na trasie przelotowej. Tak że w każdym kierunku Polski: do Przemysła, do Kielca, do Warszawy, do Łodzi. Gros mebli idzie do Łodzi i do Piotrkowa.

— Może ktoś indywidualnie przejeżdżając też zakupić sobie...?

— O tak, tak. U nas my jeszcze nie prowadzimy zapisów.

2.

Wnętrze, w tyle muzyka.

— Jak w ogóle spędza się tu, w Sulejowie, wolne soboty?

— Tak ogólnie to bardzo źle.

— To znaczy?

— Jakby to panu powiedzieć? No, bardzo źle, po prostu, no...

— Nie ma co robić?

— Nie to, że nie ma co robić, ale jest obsługa strasznie fatalna. W ogóle ani kupić coś, ani zjeść... W restauracjach tak oszukują, że...

— Wczoraj, na przykład, to od godziny dwunastej do godziny szóstej była tylko jedna zupa pomidorowa do konsumpcji i obiadów. Tylko!

— ... Idziemy, idziemy, za pół godziny wchodzi się do tej samej restauracji: okazuje się, że jest bigos. A tego już nie, tego dania... Byliśmy na przykład o godzinie osiemnastej: wchodzi się, co jest do zjedzenia? Zupa pomidorowa i wafelki. No dobrze, prosimy to. Zjedliśmy to, wchodzi się za pół godziny: co jest do zjedzenia? Bigos! Tylko bigos! Przedtem nie było, później był.

— Poza restauracją czy jeszcze można gdzieś się rozerwać?

— Może można, ale nie za bardzo.

— Panowie nie jesteście z Sulejowa?

— No, nie jesteśmy... Na wycieczku.

— Mimo wszystko życzymy przyjemnego wycieczku.

— Dziękuję bardzo.

— Żeby pogoda dopisała.

— Z tym to jeszcze można nie narzekać. A tak, to w ogóle te restauracje są okropne.

3.

Dzień nie jest tak upalny jak można się było tego spodziewać: niebieskiego nieba nad sobą nie widzę, jest lekki wiaterek. Niemniej tutaj nad brzegami rzeki jest już cała masa mniej czy więcej doświadczonych wędkarzy. Na trasie restauracji „Jagiellonka”, położonej opodal mostu tuż nad rzeką, spory już tłumek czasowiczów z dziećmi, kilkunastu panów pochylonych

pomidorowa, kurczaki, drób, ryby...

— Karta świeżo wypisana; nawet sznyceł ministerski z kury, ziemniaki młode, fasolka...

— ...no i potrawy z jaj, z makaronów...

— I tak codziennie?

— Tak.

— Tutaj po drodze skarżyli się nam młodzi ludzie, którzy przychodzą z domków campingowych, że wychodzą zawsze głodni z Sulejowa.

— A to chyba chodzi o ten drugi zakład, jaki jest w lesie: zakład „Polana”. To jest w kierunku Piotrkowa.

4.

Geganie gęsi, postukiwanie.

— Przepraszamy, że przeszkadzamy. Niby wolna sobota, wszyscy odpoczywają, a panowie musicie pracować?

— Bardzo dużo przyjeżdża i pomóc i wypocząć. Tak samo myśmy wczoraj też przyjechali pomóc w pracy rodzicom. Mały remont samochodu, taki...

— Gdzie pan mieszka?

— W Łodzi mieszkam. Tam pracuję a tu przyjeżdżam do rodziców. Jaką wolną sobota, niedziela to przyjeżdżamy sobie samochodem.

— A tutaj przecież nie ma wolnych dni.

— No, cały czas trzeba pracować. Nie w polu to w obejściu zagrody, czy...

— Czy w tej okolicy, turyści się pojawiają, rozbijają namioty?

— Byli. Byli z Warszawy. Tylko jeden raz tutaj byli.

— Ale tak specjalnie to nie ma tutaj jakichś...

niałym obramowaniu krzewów i drzew jest naprawdę wart trudu. Jak widać nikt go sobie nie zadal. Czemu? Czy dlatego, że ludzie nie wiedzą o tym, że przyjechać tu warto, czy też dlatego, że nie najłatwiejże są warunki dojazdu. O, tam jest jakiś rybak! A i on był widać na bakier z przepisami wędkarskimi, a nas widać za jakichś kontrolerów, bo czmychnął pośpiesznie.

6.

Skotniki, duża wieś odległa o jakieś dwadzieścia parę kilometrów od Sulejowa. Stoje na skarpie wzniesionej nad doliną Pilicy; przede mną spory szmac łak i wstęga kępiastych drzew towarzyszących rzecce. Zupełnie pusto; tylko jakaś kobieta zbiera trawę i ze dwie-trzy krowy się pasą. Nad Pilicą nikt. Może dlatego, że drożka do Pilicy wiedzie tak piaszczysta, że aż strach wjechać samochodem; myśmy nie wjechał. Może i dlatego, że pogoda nam się nieco zepsuła, bo choć nie pada i jest ciepło, to niebo zasnuła opona chmur, przez które z trudem cedi się światło. Tak wygląda, że do Skotnik niewielu ludzi przyjeżdża po to, by się zetknąć z Pilicą; w samej wsi widzieliśmy chyba wyłącznie jej stałych mieszkańców wyjąwszy jeden samochód z warszawską rejestracją, który zawinął się gdzieś i zniknął. Też chyba tutaj bobruje sobie gdzieś po okolicy. Patrzymy przed siebie i widzimy już na dawnym łódzkim brzegu górę Czartoria, wznoszącą się nad wsią Ręczno. Będziemy gdzieś

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

POLEMIKA Z KOLEGĄ

Karol Badziak piszący (nie-
stety, coraz rzadziej) felietony w
„Prasie Polskiej” jest rasowym
polemistą. Podziwiam go za to,
że z każdej — najbardziej nawet
oczywistej — sprawy może u-
czynić przedmiot polemiki i ataku.
Taką właściwość nie każdy
felietonista posiada...

Ostatnio — w lipcowym nu-
merze „Prasy Polskiej” — Ba-
dziak zaatakował trzech kole-
gów, że odważają się... polemizo-
wać z czytelnikami.
W felietonie zatytułowanym
„Polemika z czytelnikami” Ba-
dziak burzy się na publicystów,
że odważają się... polemizo-
wać z czytelnikami.

Felietonista „Prasy Polskiej”
z wrodzonym wdziękiem ustawił
sobie do bicia trzech dziennika-
rzy i dał im po oczach. Oczywiście
— nie licząc się z faktami. Pi-
sze bowiem, że Szeliga obrażał
czytelników za to, że się z
nim nie zgodził. Każdy kto pa-

mięta ów artykuł Szeligi wie,
że to nieprawda. Po prostu Sze-
liga odpowiedział na listy swo-
ich czytelników, wyjaśniając
i precyzując raz jeszcze swoje
stanowisko. Jest to praktyka
normalna, ba, jest to dzienni-
karski obowiązek.

Passenta natomiast karci Ba-
dziak za to, że sam atakuje
sprawozdawców sportowych a
czytelnikom nie pozwala.

I znów — każdy kto pamięta
felieton Passenta o red. Janie Ci-
szewskim z TV — też wie, że
to nieprawda. Po prostu Passent
atakował brak obiektywizmu
sprawozdawców oraz ich swoi-
stą histerię. A za co obrażał —
jak pisze Badziak — swoich czy-
telników?

Otóż — za to samo. Za brak
obiektywizmu i histerię — tylko,
że pod adresem sprawozdaw-
ców. Bowiem to co u Passenta
było dziennikarską krytyką zjaw-
iska — w listach (niektórych)
czytelników przerodziło się w
wyzwiska i żądania usunięcia
sprawozdawców z pracy.

A zatem Badziak ustawił so-

bie kolegów do bicia — i nie
licząc się z faktami naurażał im
ile wlezie.

Felietonista „Prasy Polskiej”
zda się wyznawać pogląd, że
tzw. szary czytelnik jest świętą
krową, z którą trzeba się tylko
zgadzać. Mógłbym dać dziesiątki
przykładów, świadczących o
tym, że Badziak w swojej wie-
loletniej dziennikarskiej prak-
tyce ni g d y tej zasady sam nie
stosował. I bardzo dobrze! Zain-
teresowanych odsyłam do felle-
tonów Badziaka drukowanych
w dawnym „Dzienniku Łódz-
kim”, a następnie w części prze-
drukowanych w książce „Z ży-
cia wyjęte”.

A teraz na własne podwórko.
Mój znakomity kolega także w
wypadku polemiki z Widokiem
pozwolił sobie na lecewanie
faktów. Po pierwsze list czytel-
nika z którym polemizowałem
(nie powielając nim bynajm-
niej) był przeznaczony do
publikacji. Badziak pisze, że nie
był, i że nie publikuje się listów
prywatnych.

Otóż list p. T. był przema-

zony do publikacji — autor na-
wet nie zastrzegł anonimowo-
ści. Poza tym Karol Badziak
sprawdza problem do pewnego
czteroliterowego słowa — wul-
garyzując całą sprawę. Tema-
tem mojego felietonu było bo-
wiem odwieczne prawo autora
do używania słów jakie potrze-
bne są do osiągnięcia określo-
nego efektu. W moim felietonie
chodziło o zjawiska z historii li-
teratury i dziennikarstwa a nie
o słowo, które tak zafascynowa-
ło Badziaka.

Karol Badziak jest zbyt inte-
ligentnym publicystą aby tego
nie dostrzec w mojej publikacji.
Więc?

Felietonista „Prasy Polskiej”
pisze na koniec, że nie wie czy
swoją publikacją „skierował pod
właściwy adres, czy też jest
ćwokiem bez cywilizacyjnego
poluru”. Koniec cytatu.

Zawsze twierdziłem, że Karol
Badziak jest bardzo inteligent-
nym publicystą. Drukując swój
felieton właśnie w piśmie Sto-
waryszenia Dziennikarzy Pol-
skich — na pewno wybrał do-
bry adres. Co do dalszej części
stwierdzenia Badziaka — nie
będę się spierał.

WIDOK

LEWYM OKIEM

HUZIA na BECZKĘ!

Jest w naszym piśmie taka ru-
bryczka „Powiększenia”. W której
zamieszcza się ciekłe przesiewki
z małymi a najróżniejszych spraw-
kach, wypowiedzi prasowych, za-
bawnych nieporozumień i prze-
języczeń. Niedawno celem takiej
„powiększenia” szpileczki była
wiadomość „Expressu”, że przy-
chodzą do bicia beczone śmiechu
atrakcje dla mającego powstać
Parku Kultury i Wypoczynku.
Autor „Powiększeń” pisze:
„Wyjdaj nam się, że model hu-
muru i zabawy oparty na utracie
równowagi przeszedł już do hi-
storii prowincjonalnych jarmar-
ków XIX wieku”. Inaczej mó-
wiąc: precz z beczeniami śmiechu,
to dla nas za głupie!

Zanim zabierzemy się do ar-
cysubtelnych rozrywek godnych
naszego poziomu, za lekturę an-
typowości i kontemplację brzo-
wego trójkąta na zielonym tle,
pomyślmy sobie o jarmarkach.
Chwila jest może i sposobna,
skoro na wszelkie sposoby popie-
ra się właśnie jarmarczne żakina-
dy, przechodzące nieraz naprawdę
w szarżę niesmacznych wygłu-
pów (może to i dowcipne — stu-

denka z napisem na pośladku
„tu całować” albo dużo pikant-
niej...), skoro „Dziennik Łódzki
(Popularny)” organizuje co roku
jarmark łódzki, starając się na
się urozmaicić je występnymi
sztukmistrzów a rybaków, skoro
„Odgłosy” w repertuarze Andrzeja
Makowieckiego nawołują do jak
najszybszego uruchomienia praw-
dziwie plebejskich zabaw w Pa-
rku Wypoczynku, a sama „Poli-
tyka” w artykule Jacka Maziar-
skiego o wolnym czasie w mie-
ście domaga się szybszych, szter-
szych inicjatyw właśnie w kie-
runku urządzania terenów za-
bawowych, lunaparków, karuzeli,
huśtałek.

Karuzela — to już rozrywka
„oparta na utracie równowagi”.
Tak się złożyło, że w ostatnim
czasie zwiędziałem dwa najwięk-
sze i najbardziej znane lunapar-
ki Europy: Tivoli w Kopenhadze
i Prater w Wiedniu. Tivoli jest
mała i zagęszczona do niemo-
żliwości, Prater to ogromny te-
ren „nasycony” — mówiąc języ-
kiem urbanistów — niezmierną
hołścią urządzeń służących zaba-
wie, na widok których esteta z

naszych „Powiększeń” załamałby
rezę ze zgrozy. Większość oparia
na utracie równowagi: karuzele
takie, gdzie pasażera stawia się
na głowie i kręci nim jak wrze-
cionem, takie, gdzie gość siedzi
w wózku, obracającym się wokół
własnej osi, jeżdżąc w nim po
spirali szarpającej na zakręciach,
a od czasu do czasu jeszcze
przewracając z nim koziołka; są
także kolejki, z których niekto-
rzy wychodzą bładzi, zataczając
się na niepewnych nogach. W
pawilonie śmiechu nagły pod-
much spod podłogi unosi panom
suknie nad głowy, krok dalej
wchodzi się na jadącą taśmę,
która co jakiś czas podskakuje.
Jeszcze dalej ustawiono „lustra-
tak”, że idący uderza nosem w
ścianę tam, gdzie spodziewał się
drzwi. Śmiechu jest przy tym
mnóstwo i zapewniam kolegę re-
daktora z „Powiększeń”, że sam
śmiały się również. Beczki
śmiechu — takie najbardziej ty-
powe, znane mi już sprzed wielu
lat — są tam oczywiście również.
Młodzi zawiadacy popisują się
tam swoją nieklamana zrzeczno-
ścią, biegają w obracających się
tunelach jakby nigdy nie, poma-
gają innym, gramolącym się nie-
poradnie. Nie tu nie ma moim
zdaniem do wybrzydzenia. Nie
bawi mnie rzucanie gumowymi
kulami do pokracznych głów,
żeby im strącić kapelusze — ani

wedrowka przez „Gabinet Gro-
zy” (Jest ich w Praterze kilka w
różnych wydaniach), naszpikowa-
ny ohydny i z plastycznego
punktu widzenia figurami tru-
pów, diabłów i potworów. Stras-
nie brzydkie są stonie, łabędzie,
konie i psy z tworzyw sztucz-
nych, na które wdrapują się
dzieci i po wrzuceniu pięciu
szynlowych trzęsą się przez pięć
minut udając prawdziwą jazdę.
Ale jaka uciecha tych dzieci!
Jakie tłumy w tym Praterze,
ile tu rzeczy do oglądania, do
spróbowania; od małego hazardu
przy automatach do gry, poprzez
świetne rozrywki hokejowe na
stołach aż po dyskryne prze-
zrocza porno dla starszych pa-
nów...

Mysle, że — z wyjątkiem
owych przezroczy — wszystkie
te zabawy są rozrywkami godni-
ymi, a nawet — że humor
„oparty na utracie czyjejś rów-
nowagi”, moglibyśmy bez trudu
znaleźć w wielu klasycznych
dziełach światowej dramaturgii;
że beczi śmiechu potrzebne są
w naszych miastach prawie tak
samo, jak Kukuleczki, Liczy-
rzepki i Totolotki. Nie śmiecie
się, proszę, z beczech śmiechu...

ĆWIEK

PROPOZYCJE

WATŁA GRANICA WYOBRAŹNI

Przed laty, kiedy byłem w
Związku Radzieckim, zaprowa-
dzone mnie w Iwanowie do pew-
nego instytutu, w którym inwal-
idom zakładano sztuczne ręce
poruszane biopradami. Byłem
wtedy świadkiem niewielkiego po-
kazu. Położono na stole rękę z
palcami poruszającymi się silnikiem
elektrycznym, a młodemu inwal-
idzie do kikutu ręki podłączono
przewody. Kazano mu w myśl
poruszać palcami i ręka leżąca
na stole poruszała palcami. Była
poslušna myślom człowieka.

Przypominam sobie ten fakt,
gdyż okazuje się, że byłem mi-
nowolnym świadkiem początków
bioniki. Oczywiście bionika ro-
dziła się długo i złożyły się na
setki licznych i bardzo skom-
plikowanych doświadczeń. Zło-
żyła się na to też ludzka fanta-
zja, która powoduje, że nie za-
mkną się granice nauki i że
człowiek coraz bardziej sięga do
spraw i rzeczy, o których nie
śniło się filozofom. To, co daw-
niej oddawano w pachy diabłom
i czarownikom dziś staje się
przedmiotem badań. I choć kłpa
z tego różni przesiewiec, to
przecież nie ma nic śmieszego
w ludzkim dążeniu do wyjaśnia-
nia spraw i zjawisk pozornie nie
wyjaśnionych. A że nim dojdzie
się do prawdy wcale nie trzeba
zbladzić, to już zupełnie inna
sprawa.

Bionika oficjalnie narodziła się
13 września 1960 roku. Stało się
to na symposium zorganizowa-
nym w USA na temat: „Żywe

prototypy sztucznych układów ja-
ko klucz do nowej techniki”.
Właściwie już w tytule amery-
kańskiego sympozjum tkwi wy-
jaśnienie istoty bioniki.

„Bionika” — jak to definiuje
I. B. Litviniecki w książce „Spok-
nik z bioniką” — to nauka
zajmująca się badaniem zasad
budowy i funkcji układów bio-
logicznych i ich elementów oraz
wykorzystywanie uzyskanych wy-
ników w doskonaleniu istnieją-
cych i stworzeniu zupełnie no-
wych, działających na innych za-
sadach maszyn, narzędzi, aparatu-
ry, konstrukcji budowlanych
czy procesów technologicznych.

Twórcy bioniki wyszli z zało-
żenia, że skoro świat nasz istnieje
już około 5 miliardów lat, a
życie na nim około 2 miliardów
lat, to przez ten czas droga se-
lekcji wykształciła się w przyro-
dzie organizmy najlepsze, najbar-
ziej odpowiadające warunkom
życia na Ziemi. A więc potrzeb-
nych nam rozwiązań trzeba
szukać w przyrodzie. Zreszta ta-
ka sugestia wynika też z historii
nauki. Przecież w fizyce cały
dział elektryczności zapoczątko-
wany został przez Lulęiego Gal-
wanego w XVIII wieku od ba-
dania zjawisk elektrycznych w
żywych organizmach. Uczą o tym
w każdej szkole podstawowej. A
to nie jest jedyny przykład.

Twórcy bioniki — poza tym —
doszli również do słusznego wgl-
ądu, że mimo znacznego rozwoju
nauki, nie wszystko jeszcze po-
znaliśmy, a na dodatek w bardzo

wielu przypadkach nie potrafimy
naleźć sposobu wykorzystania
wiedzy. Bionicy są ludźmi z fan-
tazją i wyobraźnią. Uważają, że
istnieją ogromne możliwości roz-
wiązań, jakie droga selekcji i e-
wolucji wykształciła przyroda, a
jakie można poznać i zastosować
w życiu i pracy człowieka. Jed-
nym z przykładów tego jest pro-
teza kierowania biopradami.

Proteza, kierowana biopra-
dami, której dość prymitywny
prototyp dane mi było oglądać
w latach narodzin bioniki, to
tylko drobny wycinek możliwości
wykorzystania biopradów. Oka-
zuje się, że można biopradą za-
stosować w wielu czynnościach,
a przede wszystkim w sprze-
żeniach człowiek — maszyna. Mó-
wiąc najprościej dzięki takiemu
sprzężeniu do kierowania ma-
szyną niepotrzebne będą ręce
rąk czy nóg. Wystarczy pomy-
śleć.

Niedawno Andrzej Boher poka-
zał w telewizyjnym „Mam po-
mysł” konstruktora układu au-
tomatycznego, sterowanego foto-
komórką, a przeznaczonego do za-
palania świateł postojujących sa-
mochodu. Jest to pozytywne
urządzenie, gdyż pozwala kie-
rować bardziej koncentrować
się na samej jeździe, a tym
samym zwiększa jej bezpieczeń-
stwo. Bionicy szukają jednak in-
nych rozwiązań.

Samochoód jadący z szybkością
100 km/godz. hamuje w 0,5 se-
kundę od momentu wydania roz-
kazu przez mózg i w tym czasie

przejeżdża około 13,8 metra.
Inżynier Wodownik z uniwersy-
tetu w Lublinie opracował ur-
ządzenie, które pozwala hamo-
wać... brwiami. Operacja trwa
0,35 sekundy, a tor hamowania
wynosi już tylko 9,7 metra. Wy-
starczy zmarszczyć brwi, aby sa-
mochoód stanął. Jest to urządze-
nie prototypowe i bardzo jeszcze
nieudoskonalone. Być może inż.
Wodownik pokazał tylko drogę
dalszych poszukiwań, eliminując
z procesu hamowania samocho-
du nogę i rękę.

W każdym razie bionicy myślą
o wykorzystaniu do kierowania
maszyn nie tylko mięśni, rąk
czy nóg. Myślą o wykorzystaniu
mięśni twarzy, a nawet ru-
chu gałki oka. Dziś dla nas to
jak fragment rozważań z powie-
ści fantastyczno-naukowej. Ale
ktoż z nas potrafi dokładnie
wykreślić granice między fanta-
zją a rzeczywistością? Ileż to już
razy fantazja stawała się rzeczy-
wistością? Ileż to już razy czy-
jeś śmiało marzenie było wy-
śmieniane i traktowane jak
brzydnie maniaka, a potem trzeba
było zdejmować czapki z głów i
budować pomniki.

Bionika jest nauką na polu fan-
tastycznym. Być może niektórzy
odmówią jej prawa do miana
nauki, wychodząc z założenia, że
korzysta ona z doświadczeń fi-
zyki, biologii, techniki, haczeż jej
doświadczenia dla swoich celów.
Jedno jest wszakże pewne: bio-
nika swoje powodzenie zawdzię-
cza i będzie zawdzięczała ludz-
kiej fantazji, która zmusza do
przekraczania granic zakreślonych
naszą wyobraźnią.

MARCIN RODAK



DYMISJA

„Publicysta przy-
stępujący do pisa-
nia książki o wy-
darzeniu, które do-
pięro co miało
miejsce, narazony
jest na liczne nie-
bezpieczeństwa. Mo-
że się np. okazać,
że w trakcie pisa-
nia czynnik em-
ocjonalny wzięty gó-
rą nad chłodną, rze-
czową analizą da-
nego zjawiska. Nie
wykluczone są też
pomyłki spowodowa-
ne tym, iż z regu-
ły wiele doku-
mentów, nasświetlających fakty towarzyszące
ważniejszemu wydarzeniu w stosunkach międzyarodo-
wych (...) wędruje — czasem na wiele lat — do kas pa-
ncernych...” — twierdzi się w „Postscriptum” autor „Dymisja
kancelerza”, Mieczysław F. Rakowski.

A przecież publicysta nie może czekać wiele lat na od-
blokowanie kas pancernych. Zajmie się tym już historik.
Publicysta musi na gorąco, świadom ryzyka pomyłki, ko-
mentować wydarzenia, i Mieczysław F. Rakowski podjął się
tej roli. Dzięki temu otrzymaliśmy książkę, która nie tylko
próbuje wyjaśnić motyw decyzji Willy Brandta, ale też
pokazuje sytuację polityczną i społeczną, w jakiej ta decy-
zja narodziła się.

Zyjemy w okresie, kiedy pokójowe współistnienie wchodzi
w nową fazę. Dla powodzenia tej idei, jej pomysłowej reali-
zacji niezbędne jest wzajemne zrozumienie się narodów, po-
znanie spraw, które złożyły się na współczesność każdego
z europejskich państw. Książka Mieczysława F. Rakowskiego
pozwala lepiej poznać i zrozumieć nie tylko decyzję Willy
Brandta, ale i współczesność Niemiec.

Mieczysław F. Rakowski — „Dymisja kancelerza”, Czytel-
nik, Warszawa 1975, str. 253, cena: zł 2,-

JAPONIA

Fascynacja Japonią trwa. Wyraża się to między innymi
pouziwem dla wszystkiego, co pochodzi z tego kraju. Poziw
budzą japońskie aparaty fotograficzne, wyroby przemysłu
lekkiego, elektroniki, zabawki. Jest to oczywiście zjawisko
powierzchnowe. Tyko nielicznych fascynują mechanizmy
społeczne i gospodarcze, dzięki którym kraj ten, prze-
grawszając wojnę, potrafił nie tylko podnieść się z upadku,
ale znaleźć się w światowej czołówce.

Na polkach księgarskich pojawiają się już kilka pozycji,
omawiających sytuację w Japonii. Jedną z nich jest książka
Michała Niesiołowskiego, wydana przez Państwowe Wydaw-
nictwo Ekonomiczne pod znamiennym tytułem: „Japonia —
źródła i kierunki rozwoju gospodarczego”.

Michał Niesiołowski zaczyna od czasów najdawniejszych,
skicując zarys historii Japonii, tam szukając źródeł prze-
słank psychologicznych i społecznych „japońskiego cudu
gospodarczego”. Najciekawszy jest jednak i dział poświę-
cony polityce gospodarczej, systemowi zarządzania i jego
organizacji. Tutaj można znaleźć wiele współczesnych źró-
deł tego, co nazywano „cudem”.

Japonia wiele nauczyła się w okresie powojennym. Spe-
cjaliści już trzykrotnie uznali, że nastąpi krach japońskiej
gospodarki i... trzykrotnie przewidywanie to nie sprawdziło
się. Po okresach zahamowań, zresztą bardzo krótkotrwa-
łych, japończyk powracali do poprzedniego tempa rozwoju.
Obecnie poważne skutki dla gospodarki japońskiej przy-
nosi kryzys energetyczny, a także dotychczasowy stanek
do niektórych azjatyckich producentów surowców. Do
skutków kryzysu Japonia powoli jakoś wychodzi, a stosunek
do wytwórców surowców zmienił się radykalnie, szybko wy-
ciągając wnioski z popełnionych poprzednio błędów. Ja-
ponia doszła bowiem do przekonania, że powinna to słowo
w krajach nisko rozwiniętych i to nie tylko dlatego, aby
ciągnąć zyski, ale również dlatego, aby w myśl też „Raportu
Rzyskiego” krajom tym pomagać.

Michał Niesiołowski — „Japonia — źródła i kierunki roz-
woju gospodarczego”, Państwowe Wydawnictwo Ekono-
miczne Warszawa 1974, str. 338, cena: 35 zł.

MAGIA, MITY I FIKCJE

Marcin Czerwiński, socjolog, współpracownik wielu cza-
sopism, pracownik Instytutu Filozofii i Socjologii PAN, o-
publikował w „Omedze” książkę pt. „Magia, mity i fikcja”.
Jest to wydanie drugie tej książki, ale rozszerzone i uzi-
pełnione. Dowód, że w naszym racjonalistycznym świecie,
nie wygasło zainteresowanie tym wszystkim, co stworzyły
młone kultury.

Marcin Czerwiński nie widzi w tym nic nadzwyczajnego
i uważa to za naturalną reakcję na współczesny racjona-
lizm. Jego zdaniem problematyka kultury pierwotnej weszła
do spraw kultury współczesnej, a szczególną karierę zrobił
w krajach nisko rozwiniętych i to nie tylko dlatego, że
przeciwstawiana się cywilizacji racjonalistycznej. Po raz
pierwszy — w XIX wieku — racjonalizmowi przeciwstawi-
ano folklor, a obecnie kultury pierwotne, szukając w nich
odtrutki na negatywy cywilizacji wysoce uprzemysłowionej.

Autor „Magii, mitu i fikcji” nie zgadza się ze wszystkimi
tendencjami panującymi w antropologii kultury, uwypuska
różnice pomiędzy poszczególnymi formacjami kulturalnymi.
Jego wnioski i refleksje stanowiące wnikliwą analizę prze-
szłości kultury w większości odnoszą się do jej współ-
czesności.

Marcin Czerwiński — „Magia, mity i fikcja”, Wiedza Po-
wszechna, Warszawa 1975, str. 202, cena: zł 15,-

„BARDZO DZIWNY ŚWIAT”

22 tom z serii „Kolibra”, wydawanej przez „Książkę
i Wiedzę”, przynosi 6 opowiadań fantastycznych pisarzy
amerykańskich i radzieckich. Amatorzy science fiction
znajdą tu „Meza opatrnościowego” F. Browna, „Bardzo
dziwny świat” A. Gromowej, „Podkmięsie” Z. Hendersona,
„Siedem dni strachu” R. A. Lafferty, „Okno w Przyszłość”
L. Mogilewa i „Twarz z Placu” W. Lit., cena zł 25,-
Opowiadania są dobrane znakomicie. We wszystkich nich
zawarta jest lektura ironia, odrobina kpiny z powagi naszego
świata. Wystarczy powiedzieć, że „Meza opatrnościowym”,
który uratował nasz świat przed inwazją Darian był pła-
czyzna Al Hanley. Nikt mu oczywiście nie postawił pomnika
za to, że dziś nie jesteśmy niewolnikami Darian, bo mało
kto jeszcze wie, że nasz spokój zawdzięczamy alkoholizmowi
Ala Hanleya.

Redakcji „Kolibra” należy się gratulacje za dobró opowia-
dań. „Bardzo dziwny świat” jest bowiem lektura uroczą i
nie tylko przeznaczona na podróż czy czytanie w poczekalni
dentysty lub jakiegoś urzędu. Po zamknięciu książki żałuje
się, że zawiera ona tylko 6 opowiadań. A może „Kolibrem”
częściej przynosiłby taki wybór?

L. W.

„Bardzo dziwny świat”, opowiadania fantastyczne, „Książ-
ka i Wiedza”, Warszawa — 1975, str. 166, cena: zł 6,-

WARTO PRZECZYTAĆ

F. SCOTT FITZGERALD — „Ostatni z wielkich” Czyt.
cena zł 24,-
I BACHMANN „Symulanka” Czyt., cena zł 22,-
E i A. BANACH — „Odkrycie Amsterdamu” W. Lit., cena
zł 70,-
F. MOLNAR — „Chłopcy z Placu” W. Lit., cena zł 25,-
Z. BIEŃKOWSKI — „Liryka i poematy” PIW, cena zł 25,-
R. FRILEK — „Sprawa polska 1944” KIW, cena zł 20,-
J. JELEN — „W blasku Złotej Niki” WSiT, cena zł 40,-
ARYSTOTELES — „Kategorie” PWN, cena zł 20,-
J. PARANDOWSKI — „Petrarka” Czyt., cena zł 25,-
J. KAWALEC — „Opowiadania wybrane” W. Lit., cena
zł 60,-
EKONOMIA POLITYCZNA SOCJAŁ. — KIW, cena zł 22,-
B. DOSTAŃSKI — „Rapsod polski” NK, cena zł 10,-
S. LEM — „Opowiadania wybrane” W. Lit., cena zł 35,-
D. SCIAMA — „Kosmologia współ.” PWN, cena zł 30,-
R. BENDIX — „Max Weber” PWN, cena zł 100,-
A. MICKIEWICZ — „Sonety krymskie” W. Lit., cena
zł 35,-

POSAG DLA WOJEWODY

(Dalszy ciąg ze str. 5)

Na przykład w okresie 30-lecia mury Zespołu Szkół Zawodowych nr 1 opuściło 6,5 tysiąca absolwentów, wykształconych robotników, technologów i hutników szkła. Znacznymi osiągnięciami legitymuje się też Technikum dla Pracujących Robotników.

O teraźniejszości i przyszłości miasta decyduje zaplecze oświatowe. A więc oprócz wymienionych: Centrum Doskonalenia Nauczycieli, punkty konsultacyjne Politechniki Łódzkiej i Uniwersytetu; od nowego roku akademickiego Studium Administracyjne UL, nieco później dwa wydziały stacjonarne: Ekonomiki Przemysłu i Ekonomiki Rolnictwa. Filie wyższych uczelni i 40 różnego typu szkół dają świadectwo, iż Piotrków jest młodym, kształcącym się miastem.

W przyszłej pięcioletce przy zbiegu ulic: Słowackiego — Belzackiej — 22 Lipca powstanie nowe osiedle mieszkaniowe, a przy nim nowe kino. Z inicjatywy robotników „Piomy” na placu kószarowym zbuduje się kosztowne 80 milionów złotych Międzyzakładowy Dom Kultury.

Komu kino, Dom Kultury i kawiarnia nie odpowiadają, ten idzie w niedzielę na mecz „Piotrcowi” albo na Targowisko, gdzie gładka samochodowo-motocyklowa. Emocje takie same, jak na stadionie...

3.

Wieczorem na placu w centrum miasta płoną wielkie ogniska. Cyganie. Ogień tańczy w połyskliwych ścianach, foliowych namiotów, tylko gitar brakuje i kotłów...

Na mapie województwa Piotrków tak pośrodku między Bełchatowem i Tomaszowem, od południa Radomsko. Z jednej strony kopalnia, z drugiej silny przemysł włókienniczy, a z trzeciej „Mostostal”. Ogromny potencjał przemysłowy. Ponięktórzy nawet martwią się, czy aby Bełchatów, który rośnie na potęgę, nie zagrozi Piotrkowowi. A jeżeli nie, to czy województwo należycie wykorzysta siłę i znaczenie kopalni.

Jeśli jakieś zagrożenie, to chyba tylko w wypadku „przeciągania” ludzi do zakładów pracy. Na razie w ogłoszeniach prześcigają się szkoły. Huta Szkła Gospodarczego w Radomsku „przyjmuje” zapisy chłopców, Szkoła Mechanizacji Rolnictwa w Piotrkowie też; kolejarze szukają kwatery w Piotrkowie dla robotników zamieszkujących „Energoblok” z Bełchatowa poszukuje robotników, Kombinat Rolniczo-Przemysłowy w Niechcicach chce zatrudnić elektromonterów.

Ręk do pracy jest pod dostatkiem, ale wszystko robią się z powodu braku mieszkań. I zaraz rodzi się pytanie. Czy Piotrków nadal zostanie miastem otwartym, tzn. czy każdy może się wprowadzić i zameldować. Bo jak na województwo przystało, w mieszkaniu najzasobniejszego. Zbudowano nowe osiedla. W budowie Narutowicza, zamieszkałe już Wyzwolenie I i II, Piastowskie, Śmida, Jagiellońskie, Wysoka. Tak, ale na obszarze 40 km kwadratowych mieszka już 63 tysiące ludzi. Na mieszkaniach czeka obecnie 3233 rodziny.

I pomyśleć tylko, że w roku 1650 stało sobie w Piotrkowie 16 pustych domów...

4.

Wśród 32 nowych miast wojewódzkich Piotrków pod względem liczby ludności dzieli wraz z Włocławkiem 13—14 miejsce. Ale jeśli wziąć pod uwagę potencjał gospodarczy, to chyba znajdzie się w czołówce. Dzielnicą przemysłowo-magazynową z „Piomą”, Fabryką Maszyn Szklarskich, „Witromą”, zakładami mleczarskimi stanowi nowy rozdział w historii przemysłu. A „Hortensja”, „Kara”, „Sygmatex”, Fabryki Mebli „Feniks”?

Wartość wyrobów i usług 30 zakładów przemysłowych wyniosła w ub. roku 5,3 miliarda złotych. 15 procent produkcji zakupiła zagranicą. Potencjał przemysłowy miasta ma wzrosnąć do 7,8 miliarda złotych. Ale już dotychczasowymi wynikami Piotrków na stałe wpisał się na mapę gospodarczą kraju.

Wraz z rozwojem przemysłu idą inwestycje komunalne: nowe ujęcie wody, ciepłociąg, oczyszczalnia ścieków. W trakcie tej wielkiej roboty pogubi się wiele spraw drobnych. Na Piaskowej ktoś zwał śmieci, czasem zabraknie świeżego pieczywa, przy stacji benzynowej będzie śmierdzieć z chlewa, bo mieszkającego tam rolnika nikt na gwałt nie wyeksmituje, stanie zlikwidowana.

No, a żeby było jeszcze zabawniej, warto wspomnieć iż „proroczy” udział w powstaniu województwa mają redaktorzy „Gazety Ziemi Piotrkowskiej” Szesnaście lat temu na balu prasy w kawiarni „Pod Ormianinem” wisiada nadmuchiwała gumowa kaczka, trzymając w dziobie transparent z napisem: Piotrków miastem wojewódzkim.

Słowo żartem się rzekło, a tu, prozę...

RYSZARD BINKOWSKI

KONTRASTY (II)

(Dalszy ciąg ze str. 1)

— Tu są tory, na które przyjmuje się pociągi — objaśnia Jerzy Jaroniński — tutaj tory postojowe dla wagonów, dalej — tory postojowe dla parowozów i wagonów motorowych, a tu trójkaty, gdzie odwraca się lokomotywy i wagony.

Stacja w Krośniewicach odgrywa dość istotną rolę w systemie KUJAWSKIEJ KOLEI DOJAZDOWEJ. Dziennie — a właściwie w ciągu doby — przyjmują się tutaj 64 pociągi pasażerskie.

Z Krośniewic kolejką wąskotorową można dojechać do Koła, Konina, Nieśzawy, Włocławka i — jak się już rzekło — do Ozorkowa.

— Wybieramy się właśnie do Włocławka — mówię.

— A to zaraz idzie wagon motorowy do Ostrowa, a tam panowie macie za 10 minut pociąg do Włocławka i dalej do Torunia — mówi jeden z kolejarzy przysłuchujących się rozmowie.

— Dziękujemy — powiadam na to — myśmy uparli się jechać tylko kolejką wąskotorową.

Nasze oświadczenie wywołuje uśmiechy u słuchaczy. My też się uśmiechamy, nie zdając sobie sprawy, co z tego jeszcze wyniknie.

Z Krośniewic bezpośrednio można jechać do Ozorkowa, Ostrowa i Boniewa.

Z Krośniewic do Ozorkowa jest 40 km i pokonuje się je w 2 godz. i 5 minut. Do Boniewa — 33 km i pociąg jedzie 1 godzinę i 17 minut.

„Trybuna -Ludu”, środa, 16 lipca 1975 roku:

„Oto parametry orbity radzieckiego statku kosmicznego „Sojuz — 19”; największe oddalenie od powierzchni Ziemi — 220,35 km, najmniejsze — 185,35 km, okres obiegu Ziemi — 88 minut 45 sekund...”

2.

Pociąg do Boniewa odchodzi za godzinę. Usiedliśmy na ławce pod kasztanem i czekamy. Ale Włodzia Parysa koreci to wszystko, co dzieje się na stacji. Wyjmuje więc aparat fotograficzny z torby i zaczyna robić zdjęcia. Budzi to umiarkowane zainteresowanie pasażerów i kolejarzy.

Nadjeżdża wreszcie nasz pociąg. Idę do kasy po bilety.

— Proszę dwa do Włocławka.

— Do Włocławka — zastanawia się kasjer — a nie mógłby kupić pan biletów do Boniewa, a tam dalej do Włocławka. Nie mam odpowiednich i musiałbym je wypisywać.

— Zgoda — mówię i biorę dwa do Boniewa.

Zajmujemy miejsca w pociągu. Wszyscy tu widzą się jak w ukropie. Ustawiamy się w kolejkę, aby zamówić obiad. Wyboru wielkiego nie ma, bo wszystko, co było w karcie już zjedzone. Została tylko pieczeń wieprzowa. Więc niech będzie dwa razy pieczeń. Okazuje się jednak, że pieczeń jest tylko jedna i jeszcze jest kurczak pieczony. Niech więc będzie jedna pieczeń i jeden kurczak.

— Kupiła pani? — pyta przez cały wagon jakąś kobietę nasz sąsiad z drugiej strony ławki.

— Nie, myślałam, że pan kupi i dla mnie — odpowiada kobieta.

— A ja miałem nadzieję, że pani.

Pociąg rusza. Jest to jeden wagon motorowy, dość już szczelnie wypo-

łniony pasażerami. Naprzeciw Parysa siada bezzębny staruszek. Długo mu się przygląda. Wreszcie mówi:

— To musi być nie polskie — pokazuje głową na Parysovą torbę.

— Nie — odpowiada Włodzio Parys — niemieckie. Ale i polski sprzęt jest niegorszy.

— A pan skąd? — indaguje dalej bezzębny.

— Z Łodzi.

— W Łodzi mam rodzinę — mówi bezzębny — na Dąbrowie. — A potem ni stąd ni zowąd chwali się. — Po niemiecku też trochę umiem.

Minęliśmy już Ostrowki, Dąbrowice Kujawskie, Liliopol, Wielką Wieś Kujawską, Zbijewo.

— Cetty — odczytuje Włodek Parys nazwę stacji. — Patrz, jakie tu dziwne nazwy — mówi do mnie.

Pociąg znów rusza. Podchodzi do nas konduktor, sprawdzający bilety.

— Fahren nach Boniewo — mówi do nas.

— Ja, ja — odpowiada Parys, robiąc wielkie oczy ze zdziwienia.

Bezzębny staruszek zaczyna nagłe coś bełkotać.

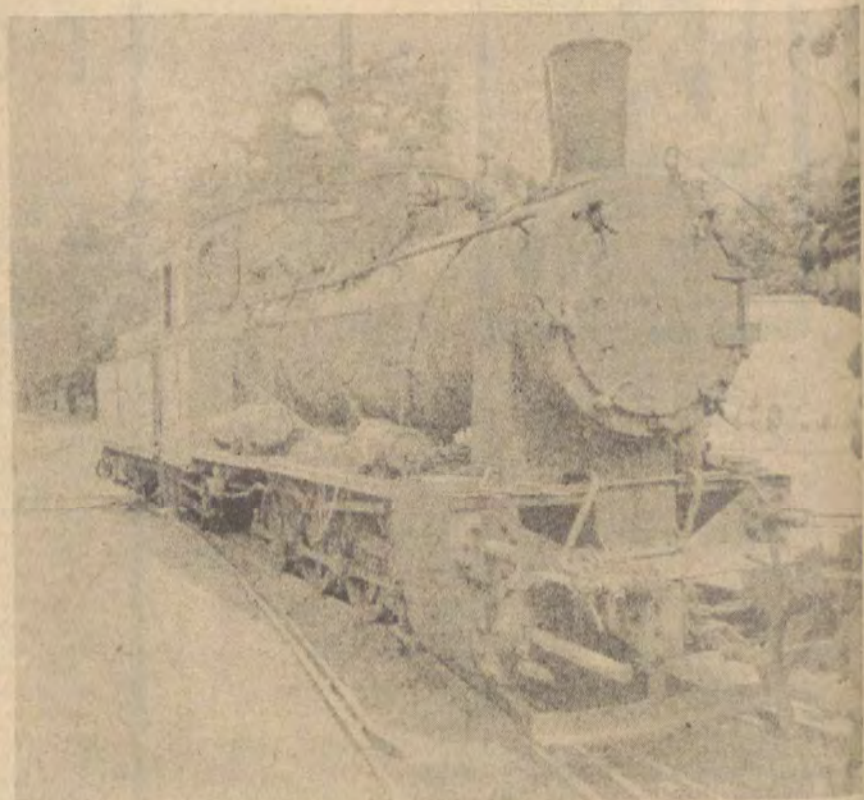
— Jak nie potrafisz, nie pchaj się na afisz — mówi do niego konduktor. — Myślisz, że umie po niemiecku — zwraca się do nas. — Ja umiem po niemiecku — Po czym salutuje nam i odchodzi.

Patrzmy na siebie z Parysem. Nie z tego nie rozumiemy. Pociąg jedzie dalej. Siedzący po przeciwnej stronie wagonu dwaj mężczyźni wyciągają z kieszeni butelkę wina marki „Wino” i odwijają z papieru kiszony ogórek. Konduktor do nich podchodzi i zabiera ich z sobą na pomost.

Stacje Wielkie. Do Boniewa już tylko 4 km. W wagonie już tylko kilka osób. Konduktor usiadł obok nas. Chwilę się nam przygląda i nagłe pyta:

— Jedli panowie obiad?

— Nie — odpowiadamy zgodnie.



3. Na stacji w Boniewie cisza i spokój. Opalony mężczyzna w kolejarzkiej czapce podewia kwiatki.

— Pan jest dyżurnym ruchu?

— Nie. Dyżurny pojechał na chwilę do domu. Zaraz wróci.

— Poczekamy zatem.

— Proszę bardzo.

Siadamy na ławce. Kolejarz przynosi nową konewkę wody.

— Sucho — informuje nas, jakbyśmy tego nie wiedzieli. Kończy podle-

JAWSKIEJ KOLEI DOJAZDOWEJ, ale za to ważną. Krzyżują się tutaj linie wąskotorowe z Włocławka do Sompolna i z Dobrego do Krośniewic. Chcąc jechać w którąkolwiek stronę z Krośniewic — poza Ozorkowem i Ostrowami — trzeba jechać przez Boniewo. W Boniewie nie ma ani warsztatów naprawczych, ani żadnej innej kolejowej instytucji.

— Trzy razy na dobę zjeżdżają się tutaj pociągi z wszystkich tych kierunków — mówi dyżurny ruchu, Zbigniew Woźniak. — Poza tym jest kilka pociągów pojedynczych, jak na przykład ten, którym panowie przyjechali z Krośniewic.

— A skąd pan wie, że przyjechaliśmy z Krośniewic.

— Telefon miałem, że jedzie dwóch zagranicznych gości, fotografują, nagrywają na magnetofon i żeby im wszystko udośćniać, pozwalają robić zdjęcia.

Popatrzyliśmy znów na siebie z Parysem. Coś zaczęło nam świtać.

— Ale to chyba nieporozumienie — mówię na to.

— Niemożliwe — stwierdza Zbigniew Woźniak. — Telefon był, a nikt inny z magnetofonem i aparatami nie przyjechał.

— My jesteśmy naprawdę z Łodzi.

„Trybuna Ludu”, sobota, 20 lipca 1975 roku:

„...Aleksiej Leonow przeprowadził pierwszy, wygłoszony w języku angielskim reportaż telewizyjny nt. Związku Radzieckiego. Dowódca „Sojuza” znajdował się w tym czasie w statku „Apollo” razem z Thomasem Staffordem i Donaldem Slaytonem i za pomocą zewnętrznej kamery telewizyjnej zainstalowanej na statku amerykańskim umożliwił telewizjom obojętnie znacznej części obszaru Związku Radzieckiego — od Krimu do granic Mongolii.”

Zbigniew Woźniak chyba nam uwierzył. Mamy prawo tak przypuszczać, bowiem gdy odszedł ze służby, przekazując ją swemu następcy, ten już potraktował nas jak zwykłych zjadaczy chleba. Kiedy Włodek Parys postanowił zrobić zdjęcie małej lokomotywy, wjeżdżającej na stację spośród drzew, dyżurny ruchu wybiegł między tory z wielkim krzykiem.

— Czy ma pan pozwolenie na robienie tu zdjęć?

— Mam.

— To niech mi je pan pokaże.

Zaczęłam więc tłumaczyć, że byliśmy w Krośniewicach w Zarządzie KUJAWSKIEJ KOLEI DOJAZDOWEJ i tam kierownik — Antoni Wójcik zezwolił nam na robienie zdjęć.

— Mnie to nie nie obchodzi — krzyknął służbiście dyżurny ruchu. — Ja to muszę mieć na piśmie.

Zaczęło robić się małe zbiegowisko. Ludzie byli ciekawi, co tu się dzieje. Parys schował aparat, zły, że uciekło mu takie dobre ujęcie.

Wszystko wróciło do normy

4.

Już w pociągu do Włocławka doszliśmy wspólnie do wniosku, że nieporozumienie musiało wynikać na stacji w Krośniewicach, kiedy proponowano nam jechać do Włocławka przez Ostrowy, normalnotorową kolejką. Trzeba być albo zagranicznymi facetami, albo wariatami, aby upierać się na jazdę wąskotorową. Widać na wariatach nie wyglądaliśmy.

A myśmy tylko podróżowali w poszukiwaniu kontrastów współczesności. I to, co widzieliśmy i przeżyliśmy dokładnie (lub prawie dokładnie) opisaaliśmy i obfotografowaliśmy.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

POEZJA I PROZA KOLEJKI WĄSKOTOROWEJ

— Restauracja jest półtora kilometra od stacji, ale będziemy kolo niej przejeżdżali, jeśli panowie mieli ochotę na obiad to zatrzymamy się na chwilę i panowie wysiadają.

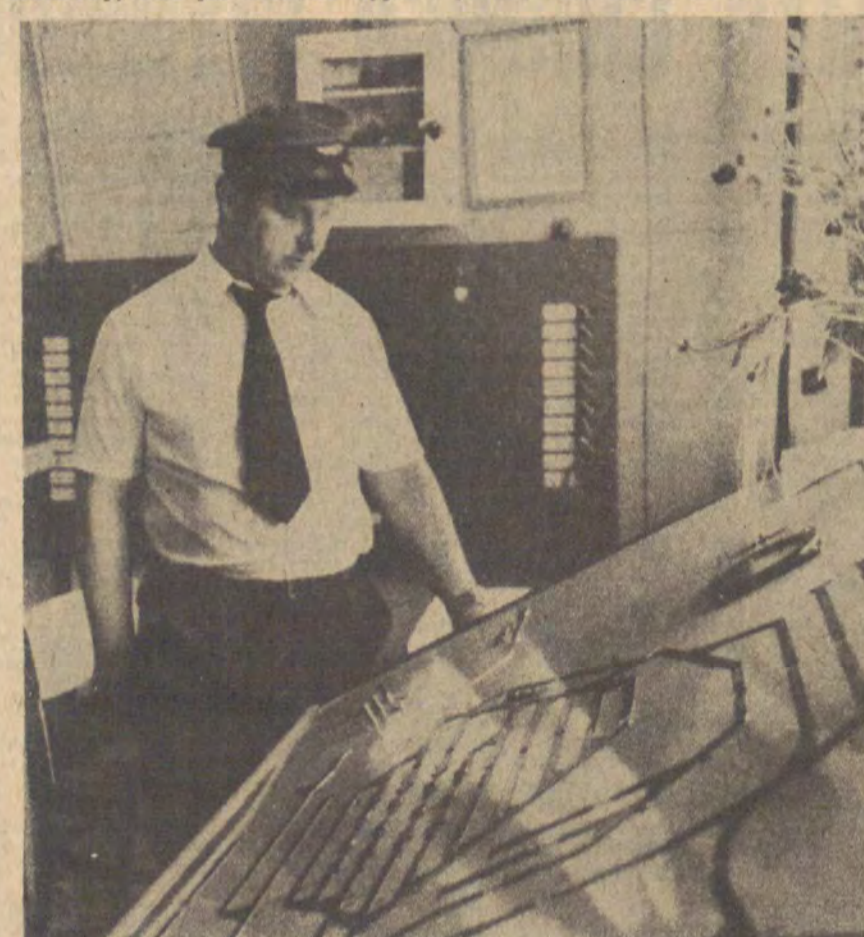
— Jeśli można byłoby — powiadam — to chętnie skorzystamy.

I wagon motorowy zatrzymuje się na chwilę przed gospodą „GS”. Z okazji tej kurstyja jeszcze kilka osób.

„Kultura”, niedziela, 27 lipca 1975 roku:

„...17 lipca 1975 r. kosmo- i astronauta w wspólnej orbicie współpracy mogli w połączonych w jedną stację statkach Sojuz i Apollo pośpólnie zwozić posiłek się rosyjskim barszczem, amerykańskim indykiem i po prostu truskawkami.”

W boniewskiej gospodzie brudno i pełno. Bufetowa uwija się jak w ukropie. Ustawiamy się w kolejkę, aby zamówić obiad. Wyboru wielkiego nie ma, bo wszystko, co było w karcie już zjedzone. Została tylko pieczeń wieprzowa. Więc niech będzie dwa razy pieczeń. Okazuje się jednak, że pieczeń jest tylko jedna i jeszcze jest kurczak pieczony. Niech więc będzie jedna pieczeń i jeden kurczak.



Zdjęcia wykonał WŁODZIMIERZ PARYS

U PRZYJACIÓŁ

Zmarły przed czterdziestką laty Maksym Pieszkow, syn Gorkiego posiadał niezaprzeczonego talentu artysty. Niestety rysunek traktował tylko jako hobby i stał dorobek jego jest stosunkowo niewielki. Zachował się przede wszystkim tzw. Album Pieszkowa zawierający prace z dziedzin grafiki i malarstwa okresu młodzieńczego.

Rysunku uczył się Maksym w „Nowej szkole rosyjskiej” pod Paryżem, a stosunkowo najwięcej prac stworzył w okresie pobytu rodziny Pieszkowych w Sorrento. W czasopiśmie „Litteraturnaja Rossija” E. Kończyn pisze: w domu Gorkiego zawsze pełno było gości, wśród nich wielu wybitnych artystów, malarzy i rzeźbiarzy. Panowała tu atmosfera twórczych dyskusji i polemik. Wydawano także domową gazetę — „Sorrentyjską Prawdę”, której naczelnym redaktorem i plastykiem był właśnie Maksym Pieszkow. W niej też zamieszczano żartobliwe artykuły i rysunki znanych.

Po śmierci syna Maksym Gorki pieczołowicie zbierał rzeźbione po kraju jego rysunki, zamierzając wydać je w specjalnym albumie. Album ten otwiera wspaniała karykatura autora „Kłima Samgina”, dalej oglądamy kilka portretów młodego artysty, żartobliwy cykl rysunków zatytułowany „Adam i Ewa”, będący prezentem dla ojca w dniu jego sześćdziesiątych urodzin. Zwracają również uwagę liczne satyryczne scenki z podróży po Niemczech i Włoszech.

Spisująca twórcza Maksyma Pieszkowa, to pełne lekkości i finezji grafiki i szkiecy satyryki i karykatury. Zdaniem ówczesnych znawców sztuki — oryginalny talent plastyczny i zmysł obserwacji predestynowały młodego amatora do zajęcia się grafiką zawodowo.

Album jest nie tylko dokumentem uzdolnień młodego twórcy, lecz także przybliża postać wielkiego pisarza. Wiele zamieszczonych tu prac powstało z inspiracji Gorkiego. Gorki był niezwykle przywiązany do syna, był z niego dumny, i tak jak wielu współczesnych wierzył w wielką karierę plastyczną młodego Maksyma. W jednym z listów do syna pisał: „Jakże radose jest dla mnie uczucie, że mój chłopak jest także twórcą, i to twórcą rzeczy naprawdę dobrych”.

Bulgarka POLINA NEDIAŁKOWA jest pierwszą kobietą w państwach socjalistycznych, która uzyskała stopień generała-majora. Uczestniczyła w wojnie domowej w Hiszpanii, walczyła w składzie brygady międzynarodowej. Ukończyła również akademie wojsk pancernych w Moskwie. Podczas Wielkiej Wojny Ojczyźnianej była jednym z żołnierzy 3 Frontu Ukraińskiego. Po powrocie w roku 1944 do Bulgarii posiadała już stopień pułkownika. Przez cały czas swej pracy w instytucjach wojskowych przekazywała zdobyty wiedz żołnierzom armii bułgarskiej. We wrześniu ubiegłego roku awansowana została do stopnia generała-majora. Obecnie piastuje stanowisko naczelnego redaktora czasopisma „Technika wojskowa”.

Jedną z ciekawszych form upowszechniania dzieł sztuki w Niemieckiej Republice Demokratycznej jest przekazywanie sztuk przez zakłady pracy swoim pracownikom, którzy otrzymali nowe mieszkanie na zakup domowego dzieła artystycznego w określonej placówce. Państwowy Haudel Dziełami Sztuki otworzył niedawno swój salon w Greifswaldzie. Salon tego typu oferuje dzieła malarskie, grafiki, rzeźby oraz porcelanę artystyczną. Placówki te nie ograniczają się wyłącznie do sprzedaży, lecz prowadzą ożywioną działalność kulturalną, organizując spotkania oraz wieczory dyskusyjne z artystami i twórcami.

GISELE MAY nazywa się popularnie „pierwszą damą songu politycznego”. Sama zaś artystka, nawiązując do definicji Bertolta Brechta, określa siebie jako: śpiewająca aktorka. Po udanych występach na wielu mniejszych i większych scenach, na początku lat pięćdziesiątych uzyskała engagement do Teatru Niemieckiego w Berlinie, gdzie zaangażował ją Wolfgang Langhoff. Po dziesięciu latach pracy i wyłożonej nauce, kiedy pogłębiała i uzupełniała tajniki gry aktorskiej, zafiarowano jej pracę w Berliner Ensemble, który prowadziła wówczas Helena Weigel.

Ścisła współpraca z bliskim przyjacielem Brechtem, znakomitym i rewolucyjnym kompozytorem Hannsem Eislerem, ukształtowały ostatecznie profil aktorstwa Gisely May. Jej pierwszy występ w charakterze brechtowskiej piosenkarki w Piccolo Teatro w Mediolanie był wydarzeniem, nie tylko dnia. Odłód w roli interpretatorki sonów Brechta i jednocześnie konferansjera przemierzała cała Europa i Stany Zjednoczone, odnosząc wszędzie sukcesy.

Poza pracą artystyczną jest również aktywnym działaczem politycznym, a także wiele czasu poświęca działalności pedagogicznej — jest docentem w klasie śpiewu i interpretacji, prowadzi wykłady i zajęcia w wyższych szkołach krajowych i zagranicznych.

W Paryżu Gisela May zdobyła Grand Prix du Discque, w Mediolanie wielką nagrodę włoskich krytyków nagrań płytowych, Akademia Sztuk Pięknych NRD wbrała ją na członka zwykłego, a obok wielu innych nagród i odznaczeń, w roku 1973 usłyszała honorową została Nagrodą Państwową I Klasy.

Południowy fort więzienia Casias leży 20 kilometrów od Lizbony. Drugie piętro. Małe, ciemne pokoje zawalone papierami: akta, kartoteki, teczki, formularze, pieczęcie, wycinki, faksimile, czyste blankiety, zapisane notesy... Paręset kilogramów pośliskiego papieru, zdolnych do wywołania nie mniejszej eksplozji niż paręset kilogramów materiałów wybuchowych, a już na pewno większej fali uderzeniowej...

Tutaj, do Casias, zwieziono archiwum pewnej skromnej agencji prasowej. Kierowało nią w Lizbonie kilku Francuzów, którzy ulotnili się w nie znanym kierunku. Obecnie dokumenty wertuje specjalna komisja śledcza, badająca już od przeszło roku sprawę portugalskiej policji politycznej PIDE. (Tajna policja polityczna stworzona w 1926 roku przez Salazara — red.).

Co łączyło polityczną policję Salazara terroryzującą cały kraj z dziennikarzami z agencji prasowej? Prawdziwego odkrycia dokonano o świcie 22 maja ub. roku, w niespełna miesiąc po przewrocie państwowym w Portugalii. Od tego dnia zaczęły wychodzić na światło dzienne fakty ukrywane przez lata w najgłębszej tajemnicy.

Oddział piechoty morskiej pod dowództwem porucznika Muniza Matusa okrążył dom nr 13 na ulicy Prasz z dzielnicy Lapa. Oficer dzwonił do drzwi mieszkanca na pierwszym piętrze. Nikt nie odpowiadał. Cisza. Kilka uderzeń kolanami karabinów i drzwi ustępują. W mieszkaniu nie ma nikogo.

Pierwsze dwa pokoje stanowią pomieszczenia biurowe, w trzecim mieści się obszerne laboratorium fotograficzne z aparatami do kopiowania i urządzeniami do wykonywania mikrofilmów. W czwartym pokoju, przy ścianach, stoją od podłogi do sufitu metalowe regały z archiwum. Na szufladkach — nazwy krajów.

Mieszkanie na ulicy Prasz było oficjalnym biurem agencji prasowej „Aginter”, pełna nazwa: „Agence International de Presse”. Dyrektor agencji, Francuz, Jean Valentin, uciekł z Portugalii nazajutrz po obaleniu dyktatury. Właściciel agencji, także Francuz, Yves Serac, wyjechał z Lizbony kilka tygodni wcześniej. Decyzją o rewizji w lokalu „Aginter” podjęły portugalskie władze bezpieczeństwa kiedy szereg agentów byłego PIDE, aresztowanych i osadzonych w forcie Casias, zeznało przed komisją śledczą, że „pracowali w ścisłym kontakcie z „Aginter Presse”, która była doskonałym kamulem dla wielu akcji zagranicznych”.

Pierwsze pobieżne badanie dokumentów wywarło wrażenie wybuchu bomby. Okazało się bowiem, że „Aginter” nie tylko maskowała międzynarodową sieć portugalskiego wywiadu, lecz była także przykrywką ultraprawicowej organizacji portugalskiej „Porządek i Tradycja”, określającej siebie jako „związek działania i walki w każdej chwili i w każdym kraju”. Ni mniej, ni więcej.

▲ WYDARZENIE NA HISTORYCZNYM SKALE

▲ NOWY PRZYKŁAD ZWYCIĘSTWA ROZSADKU

W całym okresie powojennym nie było wydarzenia, które można by przyrównać do helsińskiej konferencji na najwyższym szczeblu. Jego miarę określa najlepiej fakt, że w jednej sali konferencyjnej spotkało się: 8 prezydentów, 5 generalnych lub pierwszych sekretarzy partii, 18 premierów i 4 czterech upoważnionych do reprezentowania najwyższych władz państwowych ministrów spraw zagranicznych lub ich zastępców. Najwyższe forum Europy przy udziale Stanów Zjednoczonych i Kanady podjęło decyzje, które mogą mieć decydujący wpływ na przyszłość europejskiego kontynentu.

Oto co na ten temat powiedzieli w Helsinkach:

Edward Gierk: „W przekonaniu naszym Konferencja Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie oraz jej postanowienia mają rangę doniosłego wydarzenia historycznego. Zamykają one okres powojenny i otwierają nowe perspektywy dla przyjaznej współpracy wszystkich krajów naszego kontynentu”.

Leonid Breżniew: „Mamy za sobą niełatwą drogę,

„Porządek i Tradycja” ma swoje podstawowe filie w Hiszpanii, we Włoszech, we Francji i w RFN. Organizacja wydawała „biuletyn informacyjny” rozsyłany konspiracyjnymi kanałami do wszystkich członków organizacji. Biuletyny były przepojone jadowitą propagandą antykomunistyczną w duchu „zimnej wojny”, przyprawione wspomnieniami byłych OAS-owców i działaczy nazistowskich. A wszystko to podane z głębokim ukłonem w stronę frankizmu, salazarizmu, reżimu greckich pułkowników. Biuletyn wydawano w Dieppe, we Francji.

Francuskiego Związku Dziennikarzy itp., itd., a także faksimile wielu konsułów i byłych francuskich oficerów.

Korespondenci „Aginter Presse” byli akredytowani w Bonn, Buenos Aires, Genewie, Sajgonie, Tel Avivie, Waszyngtonie, Sztokholmie i na Tajwanie.

A oto, co opowiada o metodach werbowania i o pracy w „Aginter Presse” jeden z byłych jej korespondentów we Francji: „Po pierwszych kontaktach z filią w Dieppe i jej dyrektorem, José Vannié, kandydat na korespondenta rozpoczął pracę od

ter Presse”. Krótko przed obaleniem rządów Caetano wyjechał z Lizbony do Barcelony. Później widziano go w Południowej Ameryce — w San Salvador i w Wenezueli. Gdzie przebywa teraz, nie wiadomo.

„Trzy lata pracowałem w Yvesem Serac — powiedział reporterowi „L'Europeo” Robert Leroi. — To prawdziwy oficer, bojownik, człowiek nieskazitelnych zasad, nacjonalista i idealista”.

Ale właśnie ten „idealista”, jak twierdzi na podstawie posiadanych dokumentów włoski prokurator d'Ambrosio i sędziowie — Fiasconaro i Allesandrini, ponosi odpowiedzialność za wybuch bomby w mediolańskim Banku Rolnym 12 grudnia 1969 roku i śmierć 16 osób. Dokumenty znalezione w lokalu „Aginter Presse” w Lizbonie wskazują na udział ludzi z tej agencji w wielu innych aktach terroru, dokonanych we Włoszech na przestrzeni ostatnich pięciu lat. Wszak „Porządek i Organizacja”, działająca za parawanem „Aginter Presse”, była „związkiem działania i walki w każdej chwili i w każdym kraju”. Związki i koordynacja działań między „Porządkiem i Organizacją” i neofaszystowskimi organizacjami we Włoszech, w Hiszpanii i w Grecji nie ulegają wątpliwości. Przykład: jest rok 1967. „Czarni pułkownicy” zagarniają władzę w Atenach. Jedną z pierwszych oficjalnych wizyt nowemu premierowi rządu greckiego składa Pino Rauti, założyciel włoskiego profaszystowskiego ruchu „Nowy Porządek” i korespondent prawicowego dziennika rzymskiego „Tempo”.

Nawet wewnątrz neofaszystowskiej partii pod nazwą „Włoski Ruch Społeczny” (MSI), uchodził Rauti za twardego człowieka, on to bowiem publicznie skrytykował kierownictwo partii za wysunięcie swoich kandydatów na wyborach do parlamentu.

„Demokracja — głosił Rauti — jest infekcją mózgu”. W Atenach Pino Rauti spotkał się nawet z szefem policji wojskowej. Osiągnięto porozumienie w sprawie wspólnych akcji. Setki faszystowskich aktywistów wyruszyły z Włoch na wakacje do Grecji. Turystyczne oględziny starożytnych ruin kończyły się w ewidentnym obozie wojskowym w północnej Grecji. Po upływie pół roku ówczesny ambasador grecki w Rzymie otrzymał memorandum od swego agenta, utrzymującego kontakt z ośrodkiem włoskich neofaszystów w Rzymie. Chodziło o pewną „akcję”.

Agent donosił: „Istnieją różnice zdań co do daty wystąpienia. Włosi uważają, że są jeszcze zbyt słabi organizacyjnie. Jednakże liczba zwolenników rośnie”. Skutki tej współpracy? We wrześniu 1969 roku następuje seria wybuchów bombowych w środkowych i północnych Włoszech.

Już dziś, nawet pobieżne zbadanie dokumentów odrzytych w „Aginter Presse” wskazuje na udział tej agencji oraz skrajnie prawicowej organizacji portugalskiej „Porządek i Organizacja” w aktach terroru w krajach, w których działają neofaszystowskie organizacje wyrotowe. Teraz przed komisją badającą sprawę „Aginter Presse” stoi trudne zadanie: Z tej mozaiki wydarzeń ułożyć cały obraz.

Opracował:
JERZY CZECH

PORTUGALIA

CO KRYJĄ ARCHIWA „AGINTER PRESSE” ...

Francuskiemu dziennikarzowi, René Bacmanowi, udało się zapoznać z kartoteką zawierającą karty personalne niektórych wiodących pracowników „Aginter Presse”. Oto ich nazwiska: Robert Leroi, Jean Valentin, André Fontaine, Antoine Culby, Guy de Casteran. Na wszystkich kartach uwaga: „były członek OAS”. Na karcie Leroi widnieje jeszcze uwaga: „służba w wojskach SS”. Wszyscy byli spadochroniarzami w Algierii.

„Porządek i Tradycja”, której statut sporządzono w językach: francuskim, portugalskim i angielskim, utrzymywała ścisłe kontakty z francuską prawicową organizacją „Nowy Porządek” (przemianowana na „Front Jedności”), z włoską „Ordine Nuovo” — „Nowy Porządek” (przemianowana na „Front Jedności”) — „Ordine Nero” i inną włoską ultrapravicową tajną organizacją — „Awangarda Narodową”.

Ale to jeszcze nie wszystko. Laboratorium w libońskim oddziale „Aginter Presse” było także fabryką masowo produkującą fałszywe dokumenty. W Casias przechowywane były matryce do odbijania fałszywych dokumentów osobistych, samochodowych praw jazdy oraz paszportów zagranicznych: francuskich, hiszpańskich i portugalskich. Produkcja na wysokim poziomie... Obok tego całe mnóstwo fałszywych pieczęci francuskich prefektur, oddziału paszportowego paryskiej prefektury, blankiety i pieczęcie kolegium francuskich adwokatów, towarzystwa ubezpieczeniowego „Monde-Vie”, punktów pogranicznych, legitymacje

nadsyłania informacji. Uprzedzono go od razu, że powinny to być przede wszystkim informacje o działalności komunistów i innych lewicowców. Taki stał trwał kilka miesięcy. Po upływie tego czasu, jeżeli kandydat okazał się godny zaufania, „Aginter” szczegółowo badała jego oblicze polityczne, a głównie czy jest twardym antykomunistą. Jeśli wyniki tych badań wypadły pozytywnie, korespondent otrzymywał legitymację dziennikarską zarejestrowaną w Lizbonie i zostawał oficjalnym pracownikiem „Aginter Presse”. Wynagrodzenie i fundusz na wydatki reprezentacyjne — bardzo niskie, oczywiście przy odpowiedniej aktywności. Niekiedy, po kilku miesiącach, proponowano mu pracę wywiadowczą. W takim wypadku zaopatrywano go w fałszywe dokumenty, niezbędne przy wykonywaniu zadań specjalnych. Co to były za zadania? Przynajmniej kilka z nich: wyjazd do Afryki, werbowanie na jeńców itd. Szczególnie aktywnie działała „Aginter Presse” na kontynencie afrykańskim i w Ameryce Południowej.

Duszą tej sieci wywiadowczej był 48-letni Yves Serac, vel Yves Erlou, vel Ralf Queru, vel Yves Hiu. Wysoki, atletycznie zbudowany blondyn, Yves Serac, był kapitanem armii francuskiej, był aktywnym członkiem OAS i został skazany zaocznie przez sąd francuski na długoletnie więzienie. Podobnie jak inni OAS-owcy skazani przez sądy francuskie, ukrył się początkowo w Hiszpanii, a następnie przedostał się do Portugalii. Tam, w 1966 roku, otworzył „Agin-

ter Presse”. Krótko przed obaleniem rządów Caetano wyjechał z Lizbony do Barcelony. Później widziano go w Południowej Ameryce — w San Salvador i w Wenezueli. Gdzie przebywa teraz, nie wiadomo.

przez wszystkie przewijał się tylko jeden temat: współpraca.

I w czasie obrad plenarnych, i w czasie spotkań poszczególnych przywódców dominowała więc myśl o przyszłości, która powinna być pomyślniejsza nie tylko od przeszłości, ale i teraźniejszości.

* * *

Właśnie wtedy, kiedy rozpoczęła się konferencja w Helsinkach, agencje prasowe poinformowały o innym wydarzeniu o doniosłych następstwach — o zniesieniu blokady wobec Kuby przez kraje Organizacji Państw Amerykańskich. Po 11 latach zdecydowana większość głosów OPA zezwoliła państwom członkowskim na podjęcie stosunków dyplomatycznych i gospodarczych z Kubą.

Przypomnijmy, że już wcześniej wiele państw latynoamerykańskich, nie zważając na zakazy, stosunki takie nawiązało. Jednakże decyzja, podjęta w stolicy Kostaryki — San Jose, ma szersze znaczenie: świadczy o wpływie ogólnosiątkowego odprężenia na zbliżenie do Kuby, otwiera możliwości pokojowej współpracy w jeszcze jednym rejonie naszego globu, i tam zaczyna zwyciężać rozsądek!

Przez trzy dni było ich więcej niż w ciągu wielu miesięcy. Oczywiście,

WITOLD SŁAWSKI

PIĘŚCI BADYLARZA

Początek „Mr Majestyka” jest mylący. Nie pachnie w nim od początku prochem jak w „Charleyu Varricku”. Ten pejzaż pól warzywnych ze zgiętymi wpiół sylwetkami meksykańskich robotników zapowiada raczej dramat społeczny spod znaku „Gron gniewu”. Wrażenie początkowe pogłębia rozwiązanie konfliktu, który jest kłótnią o wysokość stawki dla zbieraczy arbużów. Wkrótce jednak okazuje się, że ta nuta społeczna jest pretekstem, akcja nieoczekiwanie skręca w dobrze znajome koleiny filmu gangsterskiego, a pierwszy trop gatunkowy służył jedynie charakterystyce bohatera.

Na kilka godzin przed czasem zarezerwowanym na antenie, Nixon poprosił do siebie oficjalną delegację Kongresu, a następnie przyjął grupę 46 swych najstarszych przyjaciół w Kongresie. W czasie pierwszego spotkania zachował pełny spokój, proponując wypicie drinków, jeśli ktoś ma na nie ochotę. Nikt jednak nie miał. Nixon krótko zreferował swe przemówienie, jakie zamierzał wygłosić, a następnie poparł swego następcę: „Jerry Ford będzie dobrym prezydentem. Zależy on rany Watergate i da krajowi szansę nowego marszu naprzód”.

Niki z obecnych nie przerwał monologu Nixona, a kiedy skończył senator Charles Bronson, odtwórca roli Majestyka, jest także aktorem o intrygujących warunkach zewnętrznych. Jego poorana twarz skontrastowana z młodzieńczą sylwetką przykuwała uwagę w wielu epizodycznych rolach znanych z polskich ekranów. To on był jednym z „Siedmiu wspianych” i on był tym oficerem amerykańskim, który w „Wielkiej ucieczce” cierpiał na klaustrofobię i nie mógł przebyć podkopu.

Kim jest Bronson jako Majestyk? Rysopis bohatera nie określa precyzyjnie jego środowiskowej przynależności. Paraduje przed kamerą niedbalem krokiem z nasuniętą na oczy czapką i zdaje się nie zdradzać ani przed widzami ani przed przeciwnikami swoich nadzwyczajnych umiejętności fizycznych. Jest przede wszystkim farmerem, któremu zależy jedynie na terminowym zbiorze i dostawie arbużów z wielkiej plantacji. Ot, badylarz — jak mówi o nim lekceważąco jego śmiertelny wróg, ponury gangster-mafioso Frank Renda. Dopiero lakonicznie zyciorys z policyjnej kartoteki odsłania nieco te pozory. Instruktor komandosów, uciekł z niewoli w Wietnamie, przyprawiając czterech jeńców — o to informacje, które uzasadniają wyczyny farmera, przy czym kwalifikacja epizodu wietnamskiego ma potwierdzać hart fizyczny bohatera, a nie budzić wątpliwości, co już pozwala wnioskować o ideologicznej proweniencji filmu.

Kult siły jest tutaj wartością najwyższą. Ludzie stabią tu miążdzeni w dosłownym sensie tego słowa. Jakikolwiek wątpliwości moralne nie mają prawa być, gdy obsłabiają tak potrzebny refleks. Jeśli atmosfera gwałtu nie jest w tym filmie tak stężona jak w innych obrazach tego gatunku, to zawdzięczamy to jedynie niedostatkowi pomysłowości reżysera. Intencje są w każdym razie takie same. W tym klimacie bezwzględności i okrucieństwa sekret, który s krywa w sobie tajemniczy farmer Majestyk staje się nieznajomością plaski, bo ograniczony do sprawności byłego komandosa, równego kumpla Johna Wayne'a z osławionych „Czerwonych beretów”.

Ale „Mr Majestyk” nie jest filmem, którego aktywność artystyczna jest skierowana przeciw konkretnej rzeczywistości społecznej i obywatelowej. Nie jest to utwór niosący świadome przesłanie moralne. Jego funkcje ideologiczne mają niejako przedmiotowy, a nie podmiotowy charakter. Jako kolejny, średnio błyskotliwy odprysk amerykańskiej mitologii przynosi brutalny obraz życia w stanie terroru, gdzie policja jest bezsilna i ośmieszona.

TADEUSZ
SZCZEPAŃSKI

WATERGATE (IX)

Wstał dżdżysty szary dzień 8 sierpnia 1974 roku. Od samego rana w Białym Domu trwały ponure przygotowania do przekazania władzy prezydentce Geraldowi Fordowi. Nixon wezwał Forda do swego gabinetu aby potwierdził wobec niego swoje intencje, a następnie zaczął ołówkiem korygować pisać z kolei, przedstawiony mu przez Price'a projekt ostatecznego przemówienia. Henry Kissinger wezwał swych współpracowników, zawiadomił ich o rezygnacji prezydenta i polecił im przygotować listy do rządów zagranicznych z zapewnieniem, że kryzys w Waszyngtonie nie wywrze żadnego wpływu na politykę zagraniczną USA.

Tymczasem Haig opuścił niepostrzeżenie Białe Domy by udać się na poufne spotkanie ze specjalnym prokuratorem Jaworskim. Stwierdzono później w kółkach oficjalnych, że general Haig przekazał tylko Jaworskiemu wiadomość o rezygnacji prezydenta. Wiele pogłosek krążących na ten temat wskazywało jednakże na to, iż próbował on dokonać sondażu co do dalszych zamiarów Jaworskiego wobec Nixona.

Na kilka godzin przed czasem zarezerwowanym na antenie, Nixon poprosił do siebie oficjalną delegację Kongresu, a następnie przyjął grupę 46 swych najstarszych przyjaciół w Kongresie.

W czasie pierwszego spotkania zachował pełny spokój, proponując wypicie drinków, jeśli ktoś ma na nie ochotę. Nikt jednak nie miał. Nixon krótko zreferował swe przemówienie, jakie zamierzał wygłosić, a następnie poparł swego następcę: „Jerry Ford będzie dobrym prezydentem. Zależy on rany Watergate i da krajowi szansę nowego marszu naprzód”.

Niki z obecnych nie przerwał monologu Nixona, a kiedy skończył senator

na świecie. Jednakże musiał również przyznać, że utracił zaufanie rządowych i że mając na względzie „najlepszy interes Ameryki”, zdecydował się ustąpić.

Formalnym dokumentem ustąpienia prezydenta był jednozdaniowy list, zgodnie z Konsytucją zaadresowany do Kissingera. Treść jego brzmiała następująco:

DROGI PANIE SEKRETARZU

Niniejszym rezygnuję z urzędu prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Z poważaniem
Richard M. Nixon

Nixon opóźnił jednak doręczenie listu do piątku w południe (9 sierpnia) i spędził ostatnią bezsenność w Białym Domu, telefonując do starych kolegów, w oczekiwaniu na słowa pociechy. Jednego z nich, senatora Norrisa Cottona obudził o drugiej w nocy aby powiedzieć mu „do widzenia”.

Nixon nie czekał, aby być świadkiem przejęcia przez Forda najpočetnějszego stanowiska świata zachodniego. Jego ostatni poranek w Białym Domu przebiegał w strugach łez wylewanych przez najbliższe osoby w części mieszkalnej siedziby prezydenta, a potem przez współpracowników i członków rządu w „Pokoju Wschodnim”. Nixon stał przed nimi z zalazanymi oczami wraz ze swoją rodziną. Jego zdolność samokontroli zanikła. Długo rozwoźił się o cnotach służby rządowej i powiedział, że nikt w jego administracji nigdy nie uzyskał osobistych korzyści kosztem publicznym, jakby zapominając, że takie oskarżenia również wytoczone przeciwko niemu. Z rozrzwieniem wspominał następnie swoich rodziców. Łamiącym



upadek, a także sprawa Watergate, jej geneza i znaczenie, zaczynają układać się w jakiś rozsądny obraz, gdy spojrzmy na to nie od strony sukcesów, lecz porażek Nixona. Poniżej on klęskę, choć nieznanym stosunkiem głosów w wyborach prezydenckich w 1960 roku. Poniżając porażkę poniósł w wyborach o stanowisko gubernatora Kalifornii w 1962 roku (wtedy właśnie miał zamiar wycofać się definitywnie z życia politycznego), zaś w 1968 roku, gdy po zabójstwie Roberta Kennedy'ego i

sprawdło, że ataki stały się jeszcze ostrzejsze, bezsilność i druzgocące w rezultacie środki masowego przekazu z władzami prokuratury i sądu.

Final sprawy Watergate był niejako formą samoczyszczenia się ustroju. Nixonowi odmówiły poparcia takie instytucje jak FBI i CIA, w dniach kryzysu nie stanął w jego obronie również wszechpotężny Pentagon. Dlaczego? Instytucje te służyły bowiem ochronie systemu USA a nie jego niszczeniu. I w tym właśnie tkwi sedno sprawy,

ANDRZEJ BLAJER



James Eastland z Missisipi wyjął z ust cygaro i powiedział: „Był pan oczywiście dobrym prezydentem”.

Nixon udał się następnie na ostatnie, nostalgiczne spotkanie z najbliższymi przyjaciółmi. Jednakże pod koniec tego spotkania opuściło go opanowanie i powiedział:

„Mam nadzieję, że nie uważacie, że was opuściłem”.

Oczy jego zasłyłami i nie mówiąc już ani słowa więcej opuścił zebranych udając się do swego gabinetu.

Tam czekały już na jego przybycie mikrofony i kamery telewizyjne. Za chwilę miał zasiąść w swym tocie i w obecności tylko jednego agenta Secret Service (prezydenckiej służby bezpieczeństwa) oraz kilku operatorów telewizyjnych, rozpocząć najtrudniejsze przemówienie jakie przyszło mu wygłosić w ciągu 25 lat swej kariery politycznej. Jak na ironię, miało właśnie 6 lat od dnia, kiedy zaakceptował nominację swej partii na kandydata na prezydenta. Wówczas na Kongresie w Miami emocjonalnie krzyknął, że „Ameryka znalazła się w kłopotach, ponieważ zawiedli jej przywódcy”. Teraz przyszło mu wyznać, że sam zawiodł. Nie przyszło mu to łatwo. Niełatwo mu było również przyjąć do wiadomości, że jest pierwszym prezydentem w historii USA, który został zmuszony do opuszczenia tego stanowiska i to w sposób niehonorowy.

„Nigdy nie zalamywałem rak — powiedział w przemówieniu — opuszczeniu tego urzędu przed końcem kadencji sprzeciwia się każda komórka mego ciała”.

Jednak opuścił go, tym razem bez uzalania się nad sobą, i oskarżenia innych, tak jak to zrobił w czasie ostatniej konferencji prasowej w Kalifornii przed 13 laty. (Nixon postanowił wówczas wycofać się na zawsze z życia politycznego). Nie wyrażał skruchy, ale nie oskarżał również swych przeciwników, że zapędzili go w ślepy zaułek. Żalował wszelkich „zranień”, które spowodował, przyznał że niektóre z jego ocen były błędne i skłoniło go to do odejścia „bez rozgoryczenia wobec tych, którzy byli moimi przeciwnikami”. Ponad połowę 16-minutowego przemówienia poświęcił na uzrzenie swych prawdziwych osłabień, zwłaszcza w polityce zagranicznej; przyrzekł kontynuować pracę na rzecz utrzymania pokoju

się głosem mówił o swej przyszłości i przeszłości —

„Jedynie gdy znajdziesz się na dnie najgłębszej doliny zrozumiesz, jak wspaniale jest być na szczycie największej góry”.

Wreszcie, po czerwonym dywanie udał się do śmigłowca „Army One”, salutowany przez 21 żołnierzy wszystkich rodzajów broni. Znow nastąpiły uscisłe raki, padanie sobie w objęcia, pocałunki i epidemieczne łzy. Następnie prezydent wkroczył na pokład śmigłowca i po raz ostatni rozłożył ramiona, tworząc znak „V” — zwycięstwo. Jego córka Julia podniosła kielik, gdy jej ojciec znalazł się w środku. W tym momencie śmigłowiec unosił się z wolna w górę, skręcając w kierunku Jeffersona. Wkrótce Nixon wyładował na waszyngtońskim lotnisku wojskowym, skąd na pokładzie specjalnego samolotu wraz ze swoją rodziną i kilku najbliższymi współpracownikami odleciał do Kalifornii. Gdy wysiadł z samolotu w bazie lotniczej marynarki wojennej „El Toro” był już zwykłym, prywatnym obywatelem USA. Z lotniska Nixon szybko udał się do swej willi. Spora grupa mieszkańców San Clemente zebrała się, by go powitać, ktoś wręczył bukiet żółtych róż żonie Nixona. Teraz jednak przestał być już dla nich wielkim człowiekiem.



Jak wyjaśnić aferę Watergate? Nie sposób nie zadać sobie tego pytania, poruszając sprawę, które jej dotyczą. Afera spowodowała przecież ustąpienie prezydenta, postawienie w stan oskarżenia i skazanie szeregu wysoko postawionych osobistości jego administracji. Wina Nixona była na pewno bezsporna, rodzi się jednak pytanie czy reakcja ze strony wymiaru sprawiedliwości i Kongresu, była odpowiednią tylko na „Watergate”? Czy przypadkiem nie ponosił winy również system, w którym taka afera mogła mieć miejsce? Wydaje się iż nawet z perspektywy roku trudno jest na te pytania udzielić jednoznacznej, wyczerpującej odpowiedzi. Mimo wszystko poświęćmy tym kwestiom nieco uwagi.

Cała prezydentura Nixona, jego wzlot

wycofaniu się Johnsona, partia demokratyczna nie miała właściwie żadnego przedstawiciela, który byłby godny miana kandydata na urząd prezydenta, Nixon — urodzony do przegrywania — o mało co nie przegrał tych wyborów, choć wszyscy uważali, że jego zwycięstwo w nich jest stuprocentowe.

Toteż ani na moment nie zapomniał on w czasie swej pierwszej kadencji, że był prezydentem, który uzyskał zaledwie 43 proc. głosów. Brak mu było poczucia legalności władzy, uważał się za usurpatora w Waszyngtonie, tym wrogim dlań mieście, wolał opanowany przez pozostałych jeszcze u władzy demokratów. Cała jego pierwsza kadencja była kampanią o ponowny wybór. I to wybór uzyskany na mocy takiego sukcesu, który odpowiadałby jego własnym, dźwignym kryteriom, głoszącym, iż wszystko co nie jest całkowicie zwycięstwem jest klęską. Pociągało to za sobą te konsekwencje, iż czuł się niepełnym na fotelu prezydenta, uważał że nie dysponuje dostateczną władzą, by móc jej użyć otwarcie. W rozmowie przeprowadzonej z Deaneem 15 września 1972 roku, kiedy to jego ponowny wybór był już pewny, prezydent powiedział:

„...Chcę, aby zebrano jak najwzrostniejszą materię o wszystkich, którzy usiłowali nas wykończyć... Czynniki to świadomie i ponoszą jego konsekwencje. Jak pan wie, w ciągu tych czterech lat nie wykorzystaliśmy naszej władzy. Nie wykorzystaliśmy FBI ani Ministerstwa Sprawiedliwości, ale to się teraz zmieni...”.

Błąd i klęska Richarda Nixona — polegały na tym, że uznał sprzeczną z prawem działalność grupy swych najbliższych współpracowników, za leżącą w interesie jego własnym (a był to człowiek o ogromnych ambicjach, marzący o zdobyciu miana „największego prezydenta stulecia”), za leżącą też w interesie partii republikańskiej i państwa. Przyłączył się zatem do tego działania, tj. do „konspiracji” celem ukreślenia głowy nieśmiały początkowo (w 1972 roku) próbom ujawnienia prawdy, zamiast odciąć się od tego natychmiast, i to całkowicie, poświęcając swych współpracowników i przyjaciół oraz potępiając ich.

Pierwszy błąd pociągnął za sobą szereg innych — uwikłanie się prezydenta w kłamstwa, uczynienie z nich jednego z środków zacieklej próby obrony, co

pozwalające zrozumieć istotę i finał afery Watergate. Ludzie Nixona nie robili przecież niczego nowego. To, o co oskarżono Nixona i za co skazywano później jego współpracowników tj. naruszanie podstaw ustrojowych jakimś są: praworządność, swoboda obywatelskie, ochrona przed podsłuchami telefonicznymi, włamaniami, prowokacją czy innymi „brudnymi trickami”, miało miejsce tak w pierwszej kadencji Nixona jak i w kadencjach jego poprzedników. Zwalazca gdy było jeszcze kierowane przeciwko siłom lewicowym i liberalnym, nie tylko nikt nie kwestionował legalności takiego działania, ale było ono przyjmowane wręcz pozytywnie przez ogół społeczeństwa USA. Różnica jednak tkwiła w tym, iż tym razem próbowano to zrobić bez współpracy z FBI czy CIA.

Jest jeszcze jeden czynnik, który również wywarł niebagatelny wpływ na taki obrót spraw, jakim przyniósł finał afery. Mam tu na myśli trwający od szeregu lat konflikt między trzema rodzajami władzy tworzącymi system władzy USA, mianowicie między władzą wykonawczą (prezydenta), ustawodawczą (Kongres) i sądowniczą. Zgodnie z konstytucyjnym podziałem władzy (jaki obowiązuje w USA), Kongres powinien stanowić idealną przeciwwagę dla władzy prezydenckiej, podczas gdy władza sądownicza dla równowagi powinna znajdować się pomiędzy. W tym podziale bowiem administracja — pojmowana funkcjonalnie — jest atrybutem władzy wykonawczej i polega na wykonywaniu praw uchwalonych przez legislatywę, podlegając nadto jej politycznej kontroli.

Jednak ostatnie dziesięciolecie poczynać od prezydentury Franklina Roosevelta, przyniosły poważny wzrost znaczenia władzy wykonawczej co doprowadziło do zdominowania przez nią władzy ustawodawczej. Objawiło się to dobitnie w akceptowaniu przez Kongres prawie wszystkich postulatów i decyzji prezydenta. W ostatnim okresie w stosunkach Kongres — prezydent nastąpił jednak zdecydowany zwrot. Kongres zaprzagnął bowiem odbudować swoją dawną pozycję, dążąc do niezależności się od wpływów prezydenta, między innymi kosztem ograniczenia jego władzy. Tragedia Nixona polegała więc również na tym, iż tego nie uwzględnił.

TARGOWISKO TALENTÓW?

Ostra krytyka ujemnych zjawisk w niektórych dziedzinach polskiego sportu przyniosła oczekiwane rezultaty. Polski Związek Piłki Nożnej podjął nie tylko decyzję zmierzającą do eliminowania z ligowych rozgrywek różnego typu „niezdziel cudów”, ale też wypowiedział się konkretnie w sprawie Jerzego Gorgonia, Andrzeja Szarmacha oraz Ireneusza Łazurkiewicza, który się do nich dołączył. Nie będą przypominać decyzji PZPN, gdyż pisano o tym obszernie i z satysfakcją. Chciałabym jednak zwrócić uwagę na dość znamienny szczegół. Cała awantura z trzema piłkarzami Górnik Zabrze wyszła na jaw dopiero wtedy, gdy ci złożyli podanie, z prośbą o przeniesienie do innych klubów. Kto chciał „kupić” Andrzeja Szarmacha i Jerzego Gorgonia pozostało słodka tajemnicą działaczy sportowych.

Ten swoisty szantaż ze strony Górnik Zabrze przyniósł nieoczekiwane skutki, ale za to bardzo pozytywne. Opinia publiczna zmusiła PZPN do zajęcia stanowiska nie tylko w tej sprawie. Bez odpowiedzi pozostaje jednak nadal pytanie: ile podobnych historii tuszują inne kluby? A bez takiej odpowiedzi szczytne zamierzenia PZPN będą nadal tylko polowicznymi.

Ostatnio jednak opinia publiczna, uspokojona decyzjami PZPN i oczekująca wznowienia sezonu piłkarskiego, zwróciła swoje zainteresowania w innym kierunku. Oto w Białymostku odbyła się IV Ogólnopolska Spartakiada Młodzieży i po raz czwarty sukces na tej spartakiadzie odniósł sportowa młodzież Warszawy. Nie byłoby w tym nic złego. Kochamy wszyscy naszą stolicę i powinniśmy się cieszyć jej osiągnięciami. Jeżeli jednak nie wszyscy się tym cieszą, to nie dlatego, że zazdrościliśmy sukcesu Warszawy, ale z zupełnie innego powodu.

Łódź miałaby powód do zazdrości, gdyż nasi młodzi sportowcy zajęli dopiero 8 miejsce, tuż przed Zieloną Górą, Lublinem i Białymostkiem. Odlóżmy jednak na bok lokalne patriotyzmy. Sprawa jest znacznie poważniejsza. Po pierwsze — przy okazji IV Ogólnopolskiej Spartakiady Młodzieży padły zasadnicze pytania: czy jest to impreza wyrastająca z powszechnego zainteresowania młodzieży sportem i to zainteresowanie utrwalająca, czy też jest to tylko o targowisko talentów?

Wszystko zdaje się wskazywać, że jest to niestety okazja dla silnych klubów, aby mogły sobie łatwo poszukać odchowana i utalentowana młodzież, i ścisnąć ją do swoich sekcji. A więc jednak targowisko talentów. W ocenie IV Ogólnopolskiej Spartakiady Młodzieży doszły do głosu tak krytykowane ostatnio poglądy i tendencje, nakazujące przedmiotowo przede wszystkim wyniki. Ujawniły się braki i grzeszy naszego sportu. Okazało się, że nie wszystkie renomowane i silne kluby prowadzą należytą pracę z młodzieżą, a bardziej liczą na to, że zrobią to za nich inni.

Na przykład dobrą pracą z młodzieżą mogą pochwalić się Legia z Warszawy i Zawisza z Bydgoszczy, a nie może się nią pochwalić LKS. Jeśli już ocenić udział w IV OSM ilością punktów, to LZS Widzew Zdzary przewyższył LKS. Ale taka ocena jest niepełna, gdyż przede wszystkim należałoby pytać o liczebność młodzieży trenującej w klubach. O to jednak nikt nie pytał.

Młodzieżowe gryzyska ujawniają też inne nieprawidłowości naszego sportu. Oto okazuje się, że mamy w kraju znakomitych wychowawców i trenerów, którzy jednak skazani są na wieczną peryferyjność. Nie wszyscy ich wychowankowie znajdują bowiem warunki dla dalszego rozwijania talentu. Zdaniem niektórych komentatorów, zaledwie dziesiąta część medalistów ze spartakiad robi sportową karierę, na jaką ich stać. Jeśli bowiem nie zainteresują się nimi sportowi potencjał, to młodzi sportowcy giną w rodzimych klubach, które mogły ich wychować, a których nie stać na dalsze kształcenie talentów. I tak rewalacji siatkarki z Zielonej Góry będą musieli pożegnać się z rodzinnym miastem i przenieść się do innych ośrodków, albo zrezygnować ze sportu. Taki los spotyka piłkarzy rezerwy z Rzeszowa, kajakarzy z Augustowa i wielu innych, którzy mieli nieznacznie urodzić się w ośrodkach nie liczących się na sportowej mapie kraju.

I ten fakt jest najsmutniejszym oskarżeniem naszego sportu, ujawniającym jego organizacyjny niedowład. O talenty trzeba oczywiście dbać, ale ta troska nie może przeszkadzać w rozwijaniu wśród młodzieży zainteresowania sportem. Skoro w Zielonej Górze, Augustowie, Rzeszowie i gdzie indziej są ludzie, którzy potrafią przygotować rewalacyjne zespoły młodych, to dlaczego nie można zatroszczyć się o to, aby w tych ośrodkach rozwijały się właśnie dyscypliny sportu, które znalazły tam entuzjastów i warunki?

Chodzi nam przecież — choćby tylko w założeniach programowych — o równomierne rozwijanie ludzkich osobowości. Aby i umysł był giętki i ciało sprawne. Uparliśmy się twierdzić, że sport wyczerpuje, sukcesy najłepszych, są znakomitą zachętą dla uprawiania danej dyscypliny, pełnią znakomitą rolę propagandową. Dlaczego więc w praktyce sportowej staramy się robić wszystko, aby tym założeniem przeczyć?

darca się poprawi. Na razie muszą wystarczyć stare.

Czasami w nocy, kiedy dzieci spały, pływali we dwójkę z Janet. Na Long Island Sound panował wtedy spokój i chłód. Łódka przemykała obok mrugających boi, żeglując prosto na wschodzący żółty księżyc.

— Wiem, że coś cię dręczy — powiedziała Janet.

— Kochanie, proszę cię!

— Czy coś ukrywasz przede mną?

— Nie.

— Jesteś pewien? Jesteś tego zupełnie pewien?

— Absolutnie, kochanie.

— No to przytul mnie. O, tak...

I łódka przez chwilę płynęła sama.

Pragnienia i spełnienie... Przyszła jesień i łódka trzeba było wyciągnąć na brzeg. Giełda nieco się ustabilizowała, ale za to Peggy zachorowała na odrę. Tommy chciał, żeby mu wyjaśnić różnice między zwykłymi bombami a bombami atomowymi, wodorowymi, kobaltowymi i wszystkimi innymi rodzajami bomb, o których się teraz mówił. Mister Wayne wyjaśnił najlepiej jak umiał. Gosposia odeszła bez wypowiedzenia.

Tajemne pragnienia miały się nadal dobrze. Bardzo możliwe, że w głębi duszy chciałby kogoś zamordować albo zamieszkać na wyspach południowych, ale musiał pamiętać o swoich obowiązkach. Miał dwoje dzieci i najlepszą z żon.

Może koło Bożego Narodzenia...

Ale tuż przed świętami wybuchł pożar w nie zamieszkanym pokoju gościnnym spowodowany wadliwą instalacją elektryczną. Strażacy ugasiłi ogień nie robiąc wielkich szkód i nikomu nic się nie stało. Ale na jakiś czas wynęła to wszelkie myśli o starym Tompkinsie. Najpierw należało odremontować mieszkanie, gdyż mister Wayne był bardzo dumny ze swego miłego, małego domku.

Na giełdzie nadal panowało podniecenie i niepewność w związku z sytuacją międzynarodową. Ci Rosjanie, ci Arabowie, ci Grecy, ci Chińczycy. Rakiety międzykontynentalne, bomby atomowe, sputniki... Mister Wayne przesiadywał w biurze do późna. Tommy zachorował na świnkę. Trzeba było pokryć na nowo część dachu. A potem nadchodzi wiosna i należało pomyśleć o spuszczeniu łódki na wodę.

Minał rok a mister Wayne miał bardzo niewiele czasu na rozmyślenia o swoich tajnych pragnieniach. Może w następnym roku. A tymczasem...

— No i jak? — spytał Tompkins. — Czuje się pan dobrze?

— Tak, dziękuję — odpowiedział mister Wayne wstając z krzesła i porcierając czoło.

— Czy żada pan zwrotu zapłaty?

— Nie. Przeżyłoby by w pełni zadowalające.

— Jak zawsze — powiedział Tompkins, robiąc perskie oko do swojej pupugi. — No i co pan przeżywał?

— Niedawna przeszłość.

— Wielu tak robi. Czy przekonał się pan, co jest pańskim najskrytszym marzeniem? Morderstwo czy wyspy południowe?

— Wolalbym nie rozmawiać na ten temat — odpowiedział mister Wayne bez gniewu, ale stanowczo.

— Wielu nie chce ze mną o tym rozmawiać — zauważył Tompkins nie bez pewnej urazy. — Niech mnie diabli, jeżeli wiem dlaczego.

— Dlatego, że... myśle, że świat najskrytszych pragnień człowieka jest dla niego jakby święty. Proszę się nie gniewać. Czy ma pan nadzieję, że uda się panu osiągnąć trwałe przejście do wybranego świata?

Stary wzruszył ramionami. — Próbuje. Jeżeli mi się uda, dowie się pan o tym. Wszyscy się dowiedzą.

— Tak, myślę, że tak.

Mister Wayne rozwiązał swoją paczkę i rozłożył jej zawartość na stole. Była tam para wojskowych butów, nóż, dwa zwoje miedzianego drutu i trzy małe puski wolowiny.

Oczy Tompkinsa zabłysły. — Zupełnie wystarczy. Dziękuję panu — powiedział.

— To ja panu dziękuję — powiedział mister Wayne. — Do widzenia.

Mister Wayne wyszedł ze sklepu na ścieżkę wśród gruzów. Jak okiem sięgnąć rozciągały się pola brązowych, szarych i czarnych ruin. Składały się one z poskręcanych trupów budynków, okaleczonych kikutów drzew i drobnych białego popiołu, który kiedyś był ciałem i kośćmi ludzi.

— No cóż — mruknął do siebie mister Wayne. — Przynajmniej odplaciliśmy im piękny za nadobne.

Ża ten rok pobytu w przeszłości zapłacił całym swoim dobytkiem i dziecięciami latami życia na dodatek. Czy to był sen? Jeżeli nawet tak, to wart był swojej ceny! Ale teraz musiał odłożyć wszelkie myśli o Janet i dzieciach. To już nie wróci, chyba że Tompkins udoskonali swoją metodę. Teraz musiał się zatroszczyć o siebie.

Ostrożnie wybierał drogę wśród ruin, wiedząc, że musi dotrzeć do schronu przed zmrokiem, zanim na ulice wylegna szczyry. Jeżeli się nie pośpieszy, ominie go poranna porcja kartoli.

jaką sobie wybierze, taką, która mu naprawdę odpowiada, pozostawiając ten przeklęty świat szczyrom i karaluchom...

Nagle Tompkins urwał w pół zdania i powiedział znowu z lodowatym spokojem. — Obawiam się, że dałem wyraz swoim uprzedzeniom. Na razie nie umiem zapewnić ostatecznej ucieczki z tego świata, w każdym razie takiej, która nie pociągałaby za sobą śmierci. Może nigdy mi się to nie uda. Jak dotychczas mogę panu zaproponować jedynie wakacje, zmianę, posmak innego świata i spojrzenie na własne pragnienia. Cenę pan zna. W razie niepowodzenia wszystko zwracam.

— To bardzo ładnie z pańskiej strony — powiedział mister Wayne zupełnie szczerze. — Ale jest jeszcze inna sprawa, o której wspominali mi znajomi: dziesięć lat życia.

— Na to nie ma rady — powiedział Tompkins. — Tego panu nie mogę zwrócić. Moja operacja stanowi ogromne obciążenie systemu nerwowego, co odpowiednio skraca życie. To jest

ROBERT SHECKLEY

ŚWIAT NASZYCH PRAGNIEN

— Ależ skąd — przerwał mister Wayne.

— ... znajdź się pan w świecie, gdzie będzie pan mógł mordować, gdzie będzie pan mógł plawić się w krwi, przewyższać markiza De Sade, Nerona czy kogoś tam jeszcze, kto jest pańskim bożyszczem. Albo przypuśćmy, że pożąda pan władzy. Wówczas wybierze pan świat, gdzie będzie pan bogiem, w przenośni i dosłownie. Kwiślowcem Jeggernautem na przykład, lub mądrym Budda.

— Nie sądzę, abym...

— Są też inne pragnienia. Wszystkie nieba i wszystkie piekła staną przed panem otworem. Nieoklecznana rozpuszta. Obżarstwo, pijaństwo, miłość, stawa — wszystko czego pan zeżechce.

— Zdumiewające! — powiedział mister Wayne.

— Tak — zgodził się Tompkins. — Oczywiście ta krótka lista nie wyczerpuje wszystkich możliwości, wszystkich kombinacji i odmian pragnień. Przecież może pan także wybrać prostą, spokojną, sielankowe życie na jakiejś południowej wyspie wśród wyidealizowanych krajowców.

— To już jest bardziej do mnie podobne. — powiedział mister Wayne z nieśmiałym uśmiechem.

— Ale kto wie? Pan sam może nie znać swoich prawdziwych pragnień. Można nawet pragnąć własnej śmierci.

— Czy to się często zdarza?

— Od czasu do czasu.

— Ja nie będę chciał umrzeć.

— To są rzadkie przypadki — powiedział Tompkins patrząc na paczkę mister Wayne'a.

— Pan wie najlepiej... Ale skąd wiedzieć, czy to wszystko dzieje się naprawdę? Cena jest niezwykle wysoka: cały mój majątek. A pan może dać zwyczajny zastrzyk, po którym będę miał sny. Cały mój majątek za jeden zastrzyk heroiny i dużo wielkich słów!

Tompkins uśmiechnął się uspokajająco. — Przeżyłcie nie będzie miało nic wspólnego z widzeniem narkotycznym ani ze snem.

— Jeżeli to prawda — spytał mister Wayne odważnie — to dlaczego nie mogę pozostać w wymarzonem przez siebie świecie na zawsze.

— Pracuję nad tym — powiedział Tompkins. — Dlatego właśnie biorę tak drogo, że potrzebne mi są materiały do doświadczeń. Chce znaleźć sposób, żeby przejście było trwałe. Jak na razie nie udało mi się przeciąć pewiny, która łączy człowieka z jego własną Ziemią i przyciąga go do niej z powrotem. Nawet najwięksi mistycy nie potrafili tej sztuki dokonać inaczej niż przez śmierć. Ale mimo to nie tracę nadziei.

— Byłoby to wspaniałe, gdyby się panu udało — wtrącił mister Wayne uprzejmie.

— Tak, niewątpliwie! — zawołał Tompkins z niespodziewanym wybuchem entuzjazmu. — Wtedy moja niedźna buda stanie się bramą do raj. Operacja nie będzie nic kosztować, będzie dostępna dla wszystkich! Każdy będzie mógł przenieść się na Ziemię,

jedną z przyczyn, dla których nasz tak zwany rząd uznał moje operacje za nielegalne.

— Nie egzekwują tego zakazu zbyt surowo — powiedział mister Wayne.

— Nie. Oficjalnie rzecz jest zakazana jako szkodliwa oszustwo. Ale urzędnicy też są ludźmi. Oni też chcieliby uciec z tej Ziemi, tak jak wszyscy inni.

— Cena — zastanawiał się mister Wayne, przyciskając do siebie zawiniątko. — I dziesięć lat życia! Za realizację moich najskrytszych pragnień... Muszę się przez chwilę zastanowić. — Niech się pan zastanawia — powiedział Tompkins obojętnie.

Mister Wayne zastanawiał się przez całą drogę do domu. Myślał o tym, kiedy pociąg dojechał do stacji Port Washington na Long Island. Jadąc samochodem od stacji do domu, nadal rozmyślał o liście twarzy Tompkinsa, o innych światach i o realizacji marzeń.

Gdy tylko jednak przekroczył próg domu, musiał zacząć myśleć o czymś innym. Janet, jego żona, żądała, żeby porozmawiał ostro z gosposią, która znowu pila. Jego syn Tommy prosił go o pomoc przy budowie łódki, która miała jutro spuścić na wodę, a mała córeczka chciała opowiedzieć o przedzskolu.

Mister Wayne porozmawiał spokojnie ale stanowczo z gosposią. Pomógł synowi pomalować dno łódki minią i wysłuchał opowieści Peggy o jej przgodach w przedszkolu.

Później, kiedy dzieci były już w łódkach, a on i Janet siedzieli we dwoje w saloniku, żona spytała go, czy coś się stało.

— Co się miało stać?

— Wyglądasz na zmartwionego. Czy miałeś zły dzień w biurze?

— Nie, wszystko jak zwykle...

Nie miał zamiaru mówić Janet ani nikomu innemu, że wziął wolny dzień i pojechał zobaczyć Tompkinsa i jego zwirowany sklep światów. Tym bardziej nie chciał mówić, że każdy człowiek powinien choć raz w życiu mieć prawo do realizacji najskrytszych pragnień. Janet ze swoim zdrowym rozsądkiem nigdy by tego nie zrozumiała.

Następny dzień w biurze był wyjątkowo gorączkowy. Na Wall Street panował niepokój w związku z wydarzeniami w Azji i na Bliskim Wschodzie, co oczywiście odbiło się na notowaniach giełdowych. Mister Wayne zabrał się do pracy. Usiłował nie myśleć o spełnieniu pragnień za cenę wszystkiego co posiada plus dziesięć lat życia na dodatek. Cóż za szalony pomysł! Stary Tompkins musi być nienormalny!

W czasie weekendów pływał na łódce z Tommym. Łódka sprawowała się bardzo dobrze, prawie wcale nie przepuszczając wody. Tommy domagał się nowych żagli, ale mister Wayne odmówił mu zdecydowanie. Może w przyszłym roku, jeżeli sytuacja gospo-

Mister Wayne doszedł do końca długiej, sięgającej mu do ramienia haldy szarego gruzu i zobaczył sklep światów. Wyglądał dokładnie tak, jak mu go znajomi opisali: miała szopa zbudowana z odpadków drewna, części samochodów, kawałków blachy i kilku rzędów kruszących się cegieł, zapocycowana wodnistą niebieską farbą.

Obejrzał się za siebie, na ścieżkę wśród ruin, żeby się upewnić, czy nikt go nie śledzi. Mocniej ścisnął pod pachą swoją paczkę, potem, przestraszony nieco własną odwagą, otworzył drzwi i wśliznął się do środka.

— Dzień dobry! — odezwał się właściciel.

On też wyglądał dokładnie tak, jak go opisano: wysoki stary człowiek o chytrze zmrużonych wąskich oczach i opuszczonych kącikach ust. Nazywał się Tompkins. Siedział w starym bujanym fotelu, na którego poręczach przypięta niebieskozielona papuga. W sklepiu znajdowało się jeszcze jedno krzesło i stół. Na stole leżała zardzewiała strzykawka.

— Dowiedziałem się o pańskim sklepie od przyjaciół — powiedział mister Wayne.

— Zatem zna pan cenę — powiedział Tompkins. — Przyniósł pan?

— Tak — odpowiedział mister Wayne, podnosząc swoją paczkę. — Cały mój majątek. Ale najpierw chciałbym o coś zapytać...

— Oni zawsze chcą o coś zapytać — powiedział Tompkins do pupugi, która mu odmrugnęła. — Proszę bardzo, niech pan pyta.

— Chcę wiedzieć, co się dzieje naprawdę.

Tompkins westchnął. — Dzieje się tak: daję panu zastrzyk, po którym pan zasypia. Potem za pomocą pewnych urządzeń, które mam na zapleczu, uwalniam pańską świadomość.

Tompkins uśmiechnął się po tych słowach i jego milcząca papuga również jakby się uśmiechnęła.

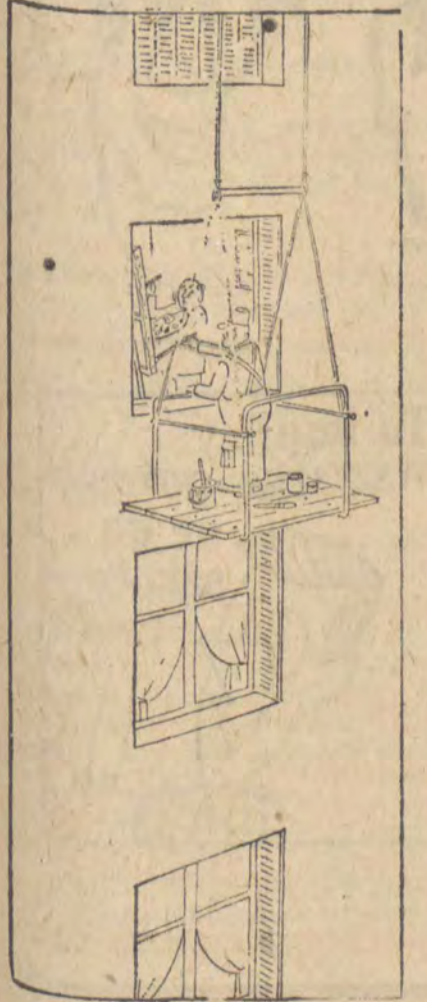
— I co dalej? — spytał mister Wayne.

— Pańska wyzwolona z ciała świadomość może wybierać spośród niezliczonej liczby możliwych światów, jakiego Ziemia odrzuca w każdej sekundzie swego istnienia.

Tompkins siedząc w swoim fotelu uśmiechnął się szerzej i mówił dalej z wyraźnym zapalem.

— Tak, mój przyjacielu, pewnie pan tego nie podejrzewał, ale nasza udręczona Ziemia, od momentu kiedy wyłoniła się z ognistego łoża Słońca, pozostawia za sobą bez przerwy alternatywne światy. Nieskończona liczba światów — biorących swój początek z malekch i wielkich wydarzeń, każdy Aleksander i każda ameba tworzą światy, podobnie jak fale, które rozchodzą się po stawie niezależnie od tego, czy wrzucimy do niego mały czy duży kamień. Czyż wszystkie przedmioty nie rzucają cienia? Otóż, mój przyjacielu, Ziemia jest czterowymiarowa, rzuca więc trójwymiarowe cienie: w każdym momencie swego istnienia rzuca swoje materialne odbicia. Miliony, miliardy światów! Bezmiar światów! I pańska wyzwolona przeze mnie świadomość będzie mogła wybrać któryś z tych światów i pożyć w nim przez jakiś czas.

Mister Wayne nie mógł uwolnić się od niepokojącego uczucia, że Tompkins przypomina naganiacza sprzed cyrkowej budy, obiecującego nie istniejące cuda. Ale mister Wayne przypomniał sobie, że za jego życia zdarzy-



Przełożył z angielskiego: LECH JĘCZYMK

BOGDA MADEJ

MAGAZYN

ODGŁOSY

ŚPIEWA „NOVUM”



Fot. Marek Guz

Z początkiem roku 1974, tuż przed rozpoczęciem I Polskich Targów Estradowych w Łodzi, ich organizator — Stowarzyszenie Muzyki Estradowej w Łodzi — postanowiło zawiązać nową żeń-

ską grupę wokálną, w związku z czym ogłosiło nabór utalentowanych muzycznie i utancznie dziewcząt. Spośród ponad dwustu zgłoszonych kandydatek, specjalnie powołana komisja, której przewodniczył Andrzej Józwiak, wybrała trójkę najlepiej śpiewających i prezentujących się dziewcząt. Stanowiąc one miały trzon grupy, która jeszcze w czasie prób przyjęła nazwę „Novum”. Pierwsze kroki na scenie (debiut grupy „Novum” miał miejsce w trakcie „Poltestu-74” w kwietniu ubiegłego roku) zespół stawił pod kierunkiem Eugeniusza Poloka, znanego multiinstrumentalisty i kompozytora. Owcześnie skład „Novum” przedstawiał się następująco: Zofia Czarska, Grażyna Piechnat i Jadwiga Pazią; poza tym zespół współpracował przez pewien czas z instrumentalną sekcją rytmiczną.

W okresie od kwietnia 1974 do marca roku bieżącego grupa wielokrotnie zmieniała swój skład osobowy, a jednocześnie dość często zmieniali się kierownicy zespołu. Mimo to, „Novum” brało udział w rozlicznych imprezach organizowanych przez łódzkie Stowarzyszenie Muzyki Estradowej. Młode wokalistki występowały nie tylko w naszym mieście, ale także na terenie całego kraju; miały również zaprezentować się publiczności radzieckiej, lecz z przyczyn technicznych ich wyjazd do Kraju Rad nie doszedł do skutku.

Przed kilkoma miesiącami — w marcu bieżącego roku — kierownictwo grupy „Novum” objął młody łódzki kompozytor — Leszek Orlewicz. Ustalił on ostatecznie skład personalny dookołpując do dwóch pozostałych w „Novum” wokalistek: Zofii Czarskiej i Grażyny Piechnat, dwoje wykonawców ze swego poprzedniego zespołu „A’vista”. Byli to: Elżbieta Matysiak i Edward Sierakowski. Jednocześnie powstała nowa grupa a-

kompanująca (Leszek Orlewicz — fortepian, Jerzy Wiktor — perkusja, Jerzy Rochala — gitara solowa, Andrzej Bijak — gitara basowa), która stale współpracuje i koncertuje z zespołem „Novum”. Warto w tym miejscu dodać, że do wspólnych występów pozyskano także na stałe znakomitego łódzkiego konferansjera i monologistę — Władysława Koczana, który wnosi na estradę elementy humoru i dobrze pojętej rozrywki.

Na przestrzeni trzech miesięcy (od marca do czerwca) grupa ta przygotowała 45-minutowy program estradowy, na który składają się kompozycje kierownika zespołu z tekstami łódzkich autorów oraz nowe interesujące opracowania standardów światowych (m.in. piosenek amerykańskich, angielskich, francuskich i włoskich). Z programem tym zespół występował w Łodzi, Ostrowie i Katowicach. Ostatnio także grupa „Novum” została zaszczyconą propozycją występu na galowym koncercie z okazji Święta Odrodzenia, który to koncert organizowały najwyższe władze miasta (impreza ta odbyła się 17 lipca br. w amfiteatrze widzewskim).

Najbliższe plany zespołu to udział we wspólnym programie estradowym z Kaliną Jedrusik (we wrześniu br.), następnie występy w międzynarodowej rewił katowickiego Teatru Varieté oraz pod koniec roku — tournée po Związku Radzieckim. Również jesienią „Novum” dokona nagrań kilku piosenek ze swego repertuaru. Życzymy zatem młodej ekipie estradowej udanych występów w kraju i za granicą, a także wielu popularnych przebojów.

KRZYSZTOF DRZEWIECKI



Fot. Archiwum

POWIĘKSZENIA

ŻYCIE BEZ KOREKTY

„Polityka” nr 27 podaje, że autorem książki „Życie bez granic” jest J. Broniewski. Nastąpiła tu wyjątkowa złośliwość (los?) wobec autora. A więc „Polityka” nr 30 naprawia błąd w taki sposób: „autorem książki „Życie bez granic” jest Jerzy Bronisławski...” I też nieprawda. Bowiem Jerzy Bronisławski jest autorem książki „Życie bez gwarancji”. Pomylił się w sprostowaniu to już szczyt złośliwości (los?). Tak wygląda w „Polityce” życie bez korekty.

REPORTAŻ ANTYKONCEPCYJNY

Ewa Berberysz pisze w „Kulturze”. „Przerwatwy samoczynnie nie spadają, kobylę z polskiej huty Laura pekają, elektroniczna branka „Casanowa” wcale nie jest taki „Casanowa”. I dalej: „Młoda załoga strakowskiego STOMILU jest jednak dojrzała i od przerwatwy, stroni...” W przeciwieństwie do dziennikarki „Kultury”, która kończy reportaż gromkim zawołaniem: „Zostańmy przy przerwatwach!”

DYLIŻANS LITERACKI

Pismo „Barwy” uczy debiutantów pisać w rubryce „Dylijans literacki”. Oto próba: „Chłód. Chłód więcej z tego wiersza. Nie mówię że to źle. Niech będzie i chłód. Tak przejmujący, że aż gorąco robi się człowiekowi w wyobraźni...” Nam zrobiło się gorąco, potem zimno — śmiech pusty nas ogarnął, a potem litość i trwoga.

KARYKATURY SŁAWOMIRA ARABSKIEGO



Mieczysław Czechowicz



Jan Englert

Biblioteka była niewielka, ale solidnie utrzymana: paprotki na oknach, na ścianie cisus, trochę wyżej portrety dostojników, a nad nimi godło państwowe. W dół ścian ustawiono półki z książkami: dla dzieci, dla dorosłych. Pani bibliotekarka, pomna na fakt, że żyje w ustroju socjalistycznym, osobno umieściła pisarzy materialistów, osobno katolików, jeszcze osobno innych wyznań. Miała sporo klopotów co zrobić z takim Home'em, w końcu kazala ustawić specjalną półkę z napisem: inni.

Bibliotekarka miała swoje biurko i starannie zaprowadzoną kartotekę czytelników. Początkowo postanowiła, że w osobnych przegródkach będą figurować pracownicy z rady narodowej, osobno ze spółdzielczości, inteligencja itp. Ale ten system okazał się zawodny. Ani z rady narodowej ani ze spółdzielczości nikt w ogóle się nie zapisał, przyszły notariusz dwie panienki z biura notarialnego, oraz trzy starsze panie z magazynu zbożowego. Najwięcej jednak zapisało się dzieci i rencistów. Pierwsi pożyczali klasykę oraz „O sierotce Marysi”, drudzy żądali książek o miłości.

Bibliotekarka wydawała książki i przeżywała wątpliwość. Zdawała sobie sprawę, że rencistów nie uda się nakłonić do korzystania z książek pisarzy awangardowych, natomiast przerażała ją obietnica dzieci do spraw walki, do chlubnych tradycji i do głębokich treści.

Wątpliwości pani bibliotekarki potęgowały się z dnia na dzień. „Jeśli nie dam im klasyki oskarżą mnie o brak zrozumienia dla przyszłości, jeśli ukryję „Kubusia Puchatka” oraz „Robinsona

senność. Znany lekarz, jako kurację, polecił jej zamażpójście, ale pomimo przyspieszonego ślubu cywilnego, nadal miewała bezsenne noce, tym bardziej, że i jej własny mąż zamiast tomu

prawie uwierzyła, że jej posłannictwo się nie spełni, że wkład pracy jest chybiony, i że nawet po złożeniu dogłębnej samokrytyki nie uwolnił się od odpowiedzialności.

Ktoregoś dnia, kiedy jak zwykle włożyła klucz w zamek i po wykonaniu obrotu w prawo, otworzyła drzwi do biblioteki, ogarnęła ją zdumienie. Zamiast książek obok półek tłoczyli się ludzie. Jedni stali w milczeniu, inni prowadzili ze sobą przysłyszane rozmowy. Bibliotekarka przyjrzała się bliżej tym ubranym dość dziwnie osobnikom i nagle pojęła, że ma przed sobą autorów książek, którzy nie wiedząc jak ani kiedy zjawili się w jej skromnej wypożyczalni.

Bibliotekarka długo stała przy drzwiach i przyglądała się niezwykłym strojom, perukom, cylindrom i brodom. Chciała nawet podejść, szczególnie do tych niedawno zmarłych, lecz zabrakło jej odwagi. Dostrzegła także, że niektórzy z pisarzy kierują się do drzwi, mając ją w milczeniu i znikają w korytarzu. Wychodzili w pewnym porządku: najpierw Homer z półki „inni”, potem jego następcy, dalej żyjący w średniowieczu, ci z odrodzenia, oświecenia, romantycy, pozytywści i tak dalej.

Po chwili sala opustoszała. Na półkach pozostała jedna jedyna książeczka.

Był to aktualny rocznik statystyczny.

EUGENIUSZ IWANICKI

W BIBLIOTECE

Cruzo” — mogą wynikać komplikacje natury politycznej. Tak myślała pani bibliotekarka i jej oczy upodabniały się do oczu ludzi chorujących na bez-

„Podstawy budowy fundamentów w przekroju historycznym” wolał czytać „Mordercę z przy-padku”. Tak więc i tu pani bibliotekarka poniosła porażkę. Już



20/162

